

**Adam Hollanek**

**Ukochany z księżycy**

**Wyd. I, Warszawa 1979r.**

**Krajowa Agencja Wydawnicza**

### **UKOCHANY Z KSIĘŻYCA**

Tak naprawdę to byłem ciekaw jego prywatnego życia, ale po długiej niebytności w kraju nie miałem odwagi odwiedzić go od razu w domu.

Zwłaszcza że przebąkiwano o jego nie najlepszych stosunkach z piękną żoną, w której podkochiwała się swego czasu połowa miasta, ze mną włącznie. Istota ta, o niezwykle delikatnej urodzie, nie widziała poza nim świata i rzecz jasna nie dostrzegała tłumu adoratorów.

Wolałem się jak najszybciej wycofać z takiej sytuacji i na pewno zawiedzione uczucia były przyczyną moich gorączkowych wojaży zagranicznych.

Zawsze drażnił mnie jego sposób kochania, jego stosunek do ubóstwiającej go kobiety.

Nauczył ją spędzania całego jej czasu w domu i tylko w domu. Ale nawet w tym domu, w którym rzadko przebywali razem, on prawie się nie odzywał. Nie wytrzymałem i zapytałem kiedyś, dlaczego właściwie tak postępuje, dlaczego mając ją obok siebie, zdaje się w ogóle jej nie dostrzegać.

- Nie doceniasz jej?- pytałem go wówczas.

- Bez niej nie umiałbym żyć - odparł.

I wówczas zrozumiałem, że stanowi ona tak integralną część jego istnienia jak serce, nerki, płuca, jak mózg; jest nim. I dlatego się jej nie czuje.

Gdy wróciłem i posłyszałem niejasne relacje o niesnaskach tych dwojga, ogarnęła mnie fala dawnego sentymentu, który nie zdążył wywietrzeć w podróży, więc podjąłem decyzję zobaczenia tylko jego. Jej nie miałem jeszcze odwagi zobaczyć.

Na razie nie miałem odwagi.

Stąd moja wizyta w jego wielkim, laserowym laboratorium, o którym opowiadano cuda.

Byłem zapowiedziany, ale musiałem trochę poczekać w gabinecie pełnym ekranów, jak studio filmowe. Ekran były nieczynne, tworzyły tylko wypukłą dekorację na kolosalnej ścianie.

Naprzeciw stało staromodne, ciemnobrązowe biurko i, jak to zwykle u uczonych, wisiało kilka fotogramów - również staromodnych - z jakichś międzynarodowych zjazdów. Na każdym widniała szczupła twarz i sylwetka Piotra. Wszędzie, bez względu na datę zdjęcia (a każde było datowane), nosił tę samą fryzurę na jeża i te same czarne wąsiki, przystrzyżone po angielsku.

Wszedł zaaferowany i ściskając mnie serdecznie, jak to zwykł dawniej czynić, powiedział:

- Chodź do sąsiedniej salki, coś ci zademonstruję.

Zachowywał się tak, jakby mnie wczoraj widział. Jakby nie dzielił nas zupełnie dystans tych kilku lat. A jednak dobrze pamiętał o rozstaniu i przerwie w przyjaźni.

- Chciałbyś pewnie porozmawiać z Anią? - zapytał zniechęcony.

Zaczerwieniłem się. Poczulem uderzenie krwi do głowy i dojrzałem jego lekko drwiące, lecz w gruncie rzeczy życzliwe, spojrzenie.

- Chciałbyś?

Skinałem tylko głową.

- No to chodź.

Poszedłem za nim, lecz zamiast zmierzać ku wyjściu, które - jak zapamiętałem z dawnych czasów - znajdowało się po lewej stronie korytarza, trochę zakamuflowane, udaliśmy się w przeciwną stronę i znaleźliśmy się w niewielkiej amfiteatralnej salce.

- W pierwszej chwili - powiedział - poczujesz się trochę podrażniony tą porcją światła i niewidzialnego promieniowania, jakim ciebie - i siebie zresztą także - potraktuję. Nic sobie z tego nie rób. Jest to przykre uczucie niezwykle prędko mijające, i na razie o nic nie pytaj.

Usiedliśmy w głębokich skórzanych fotelach przy stoliku o podwójnym białym blacie, który znakomicie konweniował ze śnieżnymi obiciami foteli. W srebrnych, wystających z blatu oprawkach, tkwiły szklanki.

Wino rozlewał malutki, błyszczący robot o miniaturowych lecz niezwykle chwytnych łapkach - prawie jedyny na razie rekwizyt nowoczesności w tym pomieszczeniu.

Istotnie poczułem się bardzo nieswojo, gdy nagle wszystko zrobiło się takie oślepiające jakby całe słońce wtargnęło do środka.

Było trochę tak, jak podczas nieustannego rozbłysku fleszów na wielkich uroczystościach.

Flesze zwały się w jedno pasmo jasności, która sprawiała ból nie tylko oczom (nie pomagało zaciskanie powiek), lecz także całemu ciału.

To ogromnie przykre wrażenie przeminęło równie prędko, jak przyszło, choć jasność pozostała. Można było teraz bez obawy otworzyć oczy. Gdy powiodłem nimi dokoła, stwierdziłem, że amfiteatr zniknął, a znacznie bliżej od jego pierwszych ław znajdowała się teraz ściana pełna starych obrazów, które znałem i spośród których wiele lubiłem i ceniłem. Były to przecież obrazy Piotra, jego biblioteka o bardzo archiwalnym i muzealnym charakterze.

Nie zdążyłem nic powiedzieć. On także milczał, obserwując mnie i z pewnym niepokojem zerkając w stronę drzwi. Otworzyły się i weszła Ania.

Zanim mnie zauważyła w głębi skórzanego fotela, powiedziała do Piotra:

- Znowu, znowu to zaczynasz.

Zanim zdążyłem do niej podejść - znalazła się obok mnie i spostrzegłem, że wita mnie z zadowoleniem, a może nawet i z lekko tylko tłumioną radością. Ucałowałem jej rękę i twarz.

- No już, szok minął? - zapytał - oboje jesteście zadowoleni?

Nie mogłem zaprzeczyć.

Poczułem bowiem coś na kształt szczęścia. Nie miałem więc nawet ani czasu, ani ochoty na zadawanie Piotrowi pytań o sposób, w jaki nas przeniósł do swego własnego domu.

Rozmawialiśmy przede wszystkim o mojej podróży. W gruncie rzeczy tylko z Anią. On, zamyślony, zatopiony w sobie, prawie się nie odzywał i jeśli włączał się do dialogu, to w zupełnie nieprzytomny sposób, pytając mnie lub Anię o to, czego absolutnie nie dotyczyła nasza rozmowa. Jej tematem było ratowanie Wenecji. Należałem do artystycznego nadzoru tego wielkiego międzynarodowego przedsięwzięcia i starałem się je opisać jak najdokładniej, znając dobrze sympatię Ani do tego miasta, w którym, jak nieraz dawniej twierdziła, spędziła najmiłsze chwile swego życia.

Moje opisy były więc przeplatane wspomnieniami, westchnieniami, banalnymi uwagami o uroku różnych zakątków Wenecji. Ania pytała nawet czy jeździłem kapać się na Lido lub na Punta Sabbioni, na co odpowiedziałem potakująco, dodając, że tamtejsze plaże świecą teraz pustką właśnie dlatego, aby nie stanowiły punktu wypadowego do miasta na wodzie, które stało się na okres naszych operacji całkowicie zamknięte.

- A starzy Wenecjanie, ci, którzy nigdy nie chcieli opuścić smrodliwych wprawdzie, lecz pełnych uroku uliczek?

- Tych jeszcze znajduje się tam czasami i z trudem eksmituje. Przeważnie przy użyciu siły. Dopóki oni czuwają, ze spokojnym sercem pracuję z ekipami naukowymi nie drząc, że kiedyś, po naszych wszystkich działaniach, to miasto będzie inne. Ludzie w nim zakochani uczynią je identycznym. Myślę że zgo... Przerwał mi w pół słowa:

- Aniu - powiedział - odchodzimy. Innym razem się nagadacie. Chciałem mu tylko pokazać.

Nie zdążyliśmy się nawet pożegnać, gdyż nie było już Ani w gabinecie - amfiteatrze. W instytucie panował półmrok a cała poprzednia scena jakby nie istniała, jakby stanowiła tylko specjalnie wywołany sen.

- Nigdy przecież nie zajmowałeś się wywoływaniem snów - powiedziałem mimo woli na głos.

- Bo to nie był żaden sen. Ja pozostałem wierny moim laserom. Tylko one nie zawsze są mi wierne.

- Nie rozumiem - odparłem ze zniecierpliwieniem.

- Zaraz ci wytłumaczę. Ale najpierw chcę wiedzieć, jak znalazłeś Anię?

- Jest smutna.

- To prawda. Ożywiła się trochę, gdy ciebie zobaczyła. No cóż, przeskoczyłeś do wspomnień, to naturalne. Jej smutek jest denerwujący. Nie mogę wytrzymać w domu. Wysiadam całymi dniami w tym laboratorium, i ciągle nie mogę w swoich laserach czegoś zrozumieć. Dlatego powiedziałem, że one nie zawsze dochowują mi wierności. Zaraz ci po kolei wszystko wyjaśnię.

I zaczął tę swoją opowieść, w której pasja naukowa nieprzerwanie przeplatała się z wybuchami wielkiego uczucia.

- Od początków swojej asystentury - mówił - pracowałem nad rozwinięciem możliwości holografii. A właściwie mój kontakt i moje marzenia o zastosowaniach holografii rozpoczęły się, gdy po raz pierwszy, na jednej z wystaw, ilustrujących postępy techniki, zobaczyłem małą grupkę figurynek, które promienie laserowe tak wiernie przerzucały w przestrzeń, że można było je niemal całkowicie oglądać z trzech stron. Obserwowało się te figurki jakby były plastyczne, trójwymiarowe, zupełnie identyczne z ich stojącymi obok wzorami.

Jeszcze podczas studiów zacząłem dobierać specjalne lasery. Wiele z nich konstruowano w laboratoriach według mego pomysłu. Zagęszczające się wiązki spójnego promieniowania

oddawały coraz plastyczniej obrazy rzeczywistości.

Doszło do tego, że dla obejrzenia wewnętrznych organów człowieka wnikało się do wnętrza ciała promieniami laserowymi, odzwierciedlając na zewnątrz, wiernie i trójwymiarowo każdy z nich - i natychmiast lokalizując w nim chore miejsca.

Mieliśmy kontakt ze szpitalami.

To przecież tam, po doświadczeniach ze zwierzętami, szukaliśmy ludzi, którym moje pomysły mogłyby naprawdę pomóc. Byłem wtedy tak przejęty swoimi pracami, tym nieustannym wydobywaniem jak gdyby na zewnątrz - wszystkiego co istnieje w środku naszych ciał, że naprawdę - i to stanowi jakąś moją wewnętrzną zadkę - nie pamiętam twarzy ani jednego z tych, których udało mi się *przez* postawienie holograficznej diagnozy uratować od śmierci.

Dostawałem zresztą i dostaję po dziś dzień setki listów z całego świata. Jedni mi dziękują za wprowadzoną do praktyki diagnostykę holograficzną. Inni klną mnie na czym świat stoi, że nie potrafiłem im pomóc, że moja metoda okazała się w ich przypadku bezużyteczna. Tak to już jest.

Na początku mojej współpracy z klinikami, wtedy kiedy zaczęły się te listy i towarzysząca im dobra i zła sława, byłem już od dwóch lat żonaty. Ożeniłem się, jak wiesz z cichą, potulną dziewczyną, którą udało mi się nie tylko oczarować swoją wzrastającą sławą i możliwościami, lecz także niemal kompletnie uwięzić w domu.

Gdy wracałem - zawsze późno, zawsze o zmroku - dręczyłem ją pytaniami o każdy szczegół tego, co robiła podczas mojej nieobecności.

Rozliczałem ją z każdej niemal minuty. Były to awantury najpierw jednostronne, przegradzane jej pocałunkami i prośbami o zaprzestanie. Potem zaczęła się buntować, co mnie wprawiało w prawdziwy szal złości. Przeklinałem chwilę, w której ją poznałem, wyrzucałem jej, że nic nie jest warta, że do niczego się nie nadaje, że nic właściwie pożytecznego nie robi. Po co więc jest, komu jest potrzebna?

Te sceny kończyły się w początkowym okresie mojego szaleństwa wybuchami rozpaczyny Ani. Później błagała, abym ją od siebie oddalił, wyrzucił, zniszczył.

Wreszcie wpadła w apatię i kiedy wracałem i próbowałem się z nią kłócić, w ogóle się nie odzywała. Siedziała prawie bez ruchu, zagłębiona w wielkim pluszowym fotelu, smutna i zgaszona, jakby spała, a gdzieś w głębi niej działał się sen, którego za żadne skarby nie chciała uzewnętrznić. Jakby przeżywała coś zakazanego, ukrywając to przede mną.

Potrząsałem nią. Wściekałem się. W końcu błagałem o jedno chociaż jej słowo. Milczała.

Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, na jaką samotność ją skazałem.

W jaki sposób można by to odwrócić? Jak ją uratować? - były to pytania, na które szukałem odpowiedzi nie tylko po powrotach do jakby opustoszałego domu, ponieważ Ania zachowywała się tak, jak gdyby przestała w ogóle istnieć.

.Nie miałem nawet pojęcia czy i kiedy cokolwiek jadła. Widziałem jak traci, jak zrzuca z siebie stopniowo, cicho i bezszelestnie swoją ludzką egzystencję i drżałem, iż nie potrafię na to nic a nic poradzić. Była to udręka i w pracy i w domu.

Co chwila jawił mi się jej obraz, siedzącej nieruchomo, z oczami otwartymi, wybiegającymi gdzieś poza ściany mieszkania, nie widzącymi co się dzieje dookoła.

Mówiłem do niej - nie odpowiadała. Byłem pewien, że w ogóle mnie nie słucha.

Próbowałem ją oczywiście namawiać do zmiany trybu życia, zachęcałem do odwiedzania znajomych, szukania wrażeń w teatrach, kinach. Przełamując swoją potrzebę nieustannego wyczuwania jej obecności blisko siebie, wręczyłem jej nawet pewnego dnia bilety, otwierające drogę na cudowne błękitne Południe, za którym na początku małżeństwa, wtedy kiedy ty jeszcze tu byłeś, przepadaliśmy oboje.

Tylko wtedy nie mogliśmy sobie na taką podróż pozwolić. Wyjeżdżaliśmy niedaleko i przeważnie - tak przynajmniej mi się dziś wydaje - każde wakacje psuła nam brzydka deszczowa pogoda.

Niestety... o wyjeździe samotnym czy ze mną nie chciała już słyszeć. Darłem z wściekłością ciągle na nowo kupowane bilety, i wówczas chyba, gdy zrozumiałem, że w kontaktach naszych z drugim człowiekiem zachodzą zjawiska zupełnie nieodwracalne, postanowiłem wykorzystać ostatnią szansę, którą stały się moje najnowsze doświadczenia.

Przerwał, odetchnął głęboko.

- Wiedziałem o nieodwracalności wydarzeń między dwojgiem żyjących blisko siebie ludzi. Jest to bariera, powstająca nagle, nie wiadomo dlaczego, niewytłumaczalna.

Bo przecież można do drugiej osoby czule przemówić, można jej przyrzec, że wszystko się odmieni, można faktycznie zmienić tryb swego życia i metody postępowania, a bariera, która się pojawiła, pozostanie. Więcej; będzie rosła jak samoistna żywa istota, jak nowotwór drążący myśli i uczucia partnerów, egzystujący na koszt obojga.

Tak, wiedziałem, że wdaję się w sprawę beznadziejną, ale pragnąłem chociażby uratować pozory naszej dawnej tkliwości.

Nie chce jechać, nie chce zaznać nowych wrażeń? Przeniosę ją więc jak gdyby na skrzydłach. Moje doświadczenia z odwzorowywaniem wybranego fragmentu rzeczywistości za pomocą laserów nabrały odtąd ogromnego, niezwyklego rozmachu. Wykonując je, znowu zapomniałem o Ani, o swych marzeniach pojednania, o potrzebie ekspiacji. Pal sześć! Brnąłem w te zupełnie niezwykle pomysły, wmawiając sobie, że przecież robię to wszystko me dla siebie.

Przenosić na skrzydłach? To prymityw.

Potrzeba do tego obcych skrzydeł i długiego obcego czasu, przez który te skrzydła niosą - czasu i przestrzeni.

Podróże są ciągle jeszcze tym, czym dla medycyny jest cała dziedzina paskudnej, bolesnej, szokującej chirurgii inwazyjnej. Wciskasz w swe zamknięte, nieprzystosowane do otwierania ciała różnego rodzaju ostrza i inne narzędzia, wjeżdżasz aparaturą podpatrującą w głąb istoty stanowiącej odrębną, jedyną w swoim rodzaju twierdzą.

Ratujesz, raz na zawsze kalecząc tę cudowną, delikatną, spójną budowlę ludzkiego ciała.

Czy tylko ciała? Czyż można oddzielać uczucia od myśli, materię od duszy?

Mnie, fizykowi, widzącemu wspaniałą, niewidzialną zresztą, jednolitość materialnego świata i wszechświata, dzielenie go na fragmenty, na różne frakcje czy postaci jest całkowicie obce.

Podróżowanie jest czymś tak samo obcym dla istoty ludzkiej, tak paskudnie inwazyjnym jak chirurgia. Powiedziałem więc sobie - precz z podróżowaniem. Doprowadzę do zagłady samoloty i samochody, powozy, tramwaje, trolejbusy, dyliżanse czy autobusy, kolejki i rakiety. Zniszczę to wszystko za jednym zamachem.

Pierwszą podróż bez podróżowania odbyliśmy tak jak to było z tobą: z mego laboratorium, z tej salki z amfiteatrem do domu. Do naszego mieszkania. Pojmujesz?

- Tak, zaczynam rozumieć. Sądziś, że technika może uratować uczucia ludzkie, człowieka... Przynajmniej tak sądziłeś. Wtedy...

- Myślisz, że jestem naiwny, że być uczonym znaczy być fantastycznie naiwnym. Rościć sobie prawo do wyrokowania co  $T$ . każdym  $T$ . nas będzie dziś, jutro i pojutrze, kiedy jedna mała refleksja lub instynktowny odruch potrafi pokrzyżować wszelkie bogato inkrustowane matematyką przepowiednie. Ale chciałem spróbować z techniką, wykorzystać ją.

Przerwał. Pomyślałem wtedy: Ania była smutna, ale nie apatyczna. Cieszyła się wyraźnie ze spotkania ze mną. Przeraziła ją nagła jego ingerencja w nasze spotkanie. Pamiętam jej twarz

ściągniętą tym przerażeniem, kiedy Piotr przerywał swoje doświadczenie.

- Czy jej kogoś wtedy sprowadziłeś? - zapytałem.

- To mądre pytanie - odparł bez cienia urazy.

Wyjaśnił, że wtedy za pierwszym razem nie sprowadził do niej nikogo, choć już tłukł mu się w umyśle taki pomysł. Podstawić kogoś innego za siebie. Niech zacznie od nowa. Odrodzi się w ten sposób.

Setki cieniutkich laserowych wiązek wyrzucane z różną mocą i pod różnymi kątami, koncentrowane i sterowane wielkimi elektromagnesami nadprzewodzącymi porywały niejako obraz, na który je skierowano i przenosiły w wyznaczone miejsce. Obok lub kilkadziesiąt metrów dalej, setki metrów, tysiące, tysiące kilometrów.

Światło biegnie z szybkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, cóż to za wspaniały, nadzwyczajny pojazd dla wszystkiego co nas otacza i dla nas samych. Jest to przy tym pojazd tak błyskawiczny, że jego istnienia się w ogóle nie czuje i nie dostrzega.

- Jesteśmy w tej salce, a za chwilę... Nie, nie wstawaj, nie protestuj, siedź. Za chwilę, za ułamek chwili już jesteśmy w naszej stacji odbiorczej na morzu. Spójrz, wkoło fale, ludzie wpływają w strefę naszego działania. Możesz z nimi rozmawiać, możesz ich dotykać.

- No proszę, poznamy się - zwrócił się do młodzieńca, który ociekający wodą, jakby skamieniały patrzył na nas ze zdziwieniem.

Słońce prażyło nasze głowy, fale lizały nogi. Równocześnie przestrzeń zachowała niektóre elementy sali i tamten chłopak, tkwiąc po kostki w błękitnym morzu, stał równocześnie na parkietowej podłodze naszej salki. Było to zadziwiające, ale zarazem zupełnie naturalne.

Młodzieniec przerwał nagle swój letarg zdziwienia i prysnął w fale, znikając nam za chwilę z oczu.

Widocznie Piotr wyłączył aparaturę, ponieważ znowu salka nabrała wymiarów pełnej rzeczywistości. Stała się tylko tym, czym była przedtem- salą z amfiteatrem, niczym więcej.

Gdy minęła chwila przykrego uczucia, właściwie dotkliwego cierpienia, zapytałem Piotra:

- Jak robisz tę dziwną sztuczkę, jak mieszasz dwa różne oddalone od siebie układy?

- To można szczegółowo naukowo uzasadnić - zaśmiał się. - Widzisz, a tak pogardzałeś możliwościami nauki. Nie jest chyba obojętne, co się z nami dzieje czy będzie się działo, jeśli czegoś bardzo, bardzo zapagniemy?

- Wcale nie pragnę w ten sposób dostawać się nad morze. Myślę, że Ania...



- Ona także nie chciała nigdzie przenieść się w ten sposób. Początkowo absolutnie sobie tego nie życzyła. Sztywniała i obojętniała jeszcze bardziej, gdy próbowałem z nią tych - jak ty to określasz - sztuczek.

Rzecz w tym, że promieniowanie laserowe odpowiednio sterowane z szybkością światła odwzoruje nas wiernie w wybranym przez nas miejscu. To znaczy w miejscu wyposażonym w odpowiednie urządzenie odbiorcze.

Te kolei te urządzenia, również składające się z tysięcy skoncentrowanych, zminiaturyzowanych aparatów laserowych, oddają przechwycony obraz z powrotem. Jest to stałe wahanie, stała oscylacja odbywająca się z prędkością 300 tysięcy kilometrów na sekundę. W ten sposób, bez tradycyjnego podróżowania, nie ruszając się z miejsca ani nawet nie zmieniając pozycji, możemy znaleźć się zawsze

15

tam, gdzie się nam być zamarzy. A ci, którzy do nas przyjdą- i w tamtym miejscu i w domu, z którego wyruszamy, będą nam towarzyszyć.

- Niepojęte.

- Ale autentyczne. Niech ci się zdaje, że samolot tak przyśpieszył swój bieg, że krajobraz, który widziałeś przy starcie zmieszał się z krajobrazem przy lądowaniu. Przecież to sobie można całkiem dobrze wyobrazić.

- Wszystko sobie można wyobrazić.

- Oczywiście. Nie o to mi chodziło. Jest to także możliwe rachunkowo: po prostu można obliczyć takie mieszanie krajobrazów. To tylko kwestia czasu i przestrzeni, no i szybkości podróżowania. Oczywiście, naprawdę to lasery przenoszą tylko nasz obraz w jedną a potem w drugą stronę. Ale ponieważ w tym przenoszonym obrazie jesteśmy identyczni z prawdziwymi - czujemy i myślimy tak samo, a rzecz dzieje się niezmiernie szybko - nie spostrzegamy więc żadnej mistyfikacji.

- Przyznajesz, że to oszustwo?

- Jeśli nawet użyje się tego zbyt mocnego słowa to i tak nie zmieni ono istoty rzeczy.

Naprawdę, czy na niby - jesteśmy identyczni. O to mi chodziło.

Pomyślałem sobie, że był to bardzo chytry pomysł. Nie tracąc Ani, nie pozwalając jej się od siebie oddalić, mój przyjaciel Piotr pokazywał jej różne odmiany rajy, mogąc w każdej chwili pełnić rolę archanioła wyganiającego ją stamtąd. Nieźle pomyślane.

Chciałem mu to powiedzieć. Zastanawiałem się, czy i on to w ten sposób pojmował, czy robił tak celowo, czy też bezwiednie brnął w te swoje naukowe fantazje, pragnąc przy ich pomocy ocalić ukochaną istotę.

- Pozwolisz mi - powiedziałem - jeszcze raz zobaczyć się z Anią. Tylko w normalny, naturalny sposób.

- Ależ oczywiście. Drzwi naszego domu są zawsze dla ciebie otwarte. Przychodź, przychodź. Pogadajcie sobie.

- Myślisz, że to jej dobrze zrobi?

- Nie żartuj, jestem w bardzo trudnym położeniu.

- Nie rozumiem. Przecież, jak widać, udało ci się w końcu wyprowadzić Anię z jej apatii.

To sukces.

- Trwał zbyt krótko.

Chciałem mu wyrzucić egoizm, krótkowzroczność i jeszcze wiele innych wad, ale dojrzałem w jego oczach, w jego całej twarzy prawdziwą rozpacz i bezradność.

- Zgubiłem człowieka, straciłem go z oczu, zniknął - powiedział załamującym się głosem.

- Kto to był, co ten człowiek ma wspólnego z Anią, .1 może to o niej ciągle jeszcze mówisz?

- Nie, nie o niej, choć właśnie jej to najbardziej dotyczy. Tego człowieka, tego chłopca poznałem w bazie księżycowej.

Gdy usilnie starałem się wyprowadzić Anię z jej niepokojącego stanu, proponując jej różne rozrywki, towarzystwa i podróże, których tak w gruncie rzeczy nie znoszę, wpadłem na pomysł zafundowania jej ekskursji niezwyklej.

A więc podjął się eksperymentu naukowego o zupełnie nieprzewidzianych konsekwencjach osobistych. Sława jego prac i doświadczeń ułatwiła mu zorganizowanie w stałej bazie księżycowej, obsadzonej zawsze kilkoma osobami i odwiedzanej mniej lub więcej regularnie przez rakiety wahadłowe, stacji laserowej odbiorczo-nadawczej. Takiej, która by umożliwiła błyskawiczne przenosiny z pokoju na Ziemi do gładkich, obłych i przezroczystych półkul domków na Księżycu.

Myślano wtedy, że przed ludzkością otwiera się nowa era podboju Kosmosu.

- Szybko jednak - mówił Piotr - wyprowadziłem swych kolegów z błędu. Światło biegnie z szybkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, czyli w ciągu niecałej sekundy można przenieść swój obraz na Księżyc a w ciągu następnej sekundy powraca on na Ziemię z tym wszystkim, co

obejmował w miejscu docelowym. Tylko małe kilkusetsekundowe najwyżej odległości świetlne udaje się synchronizować naszym zmysłem. Spójny i jednolity obraz jedynie wówczas jest więc możliwy, gdy odległości są astronomicznie małe. Nie uzyska się go w ogóle, jeśli odległości przekroczą pewną ściśle określoną barierę. Wyliczyłem ją i w literaturze fachowej nazywa się ona barierą Piotra Ligęzy.

Przy pewnych korektach pełne złudzenie przebywania równocześnie w Dwóch miejscach uzyskuje się w obrębie tej części Układu Słonecznego, w których krążą Merkury, Wenus, nasza Ziemia i Mars.

- Czy to mało?

Mówił bardzo szybko, czasami trudno mu było złapać oddech. Chciał mi wszystkie zawiłości naukowe jasno i prosto wytłumaczyć, zmierzając jak najprędzej do sedna całej sprawy.

Widocznie jednak, mimo wszystko, nigdy nie potrafił całkiem o sobie zapomnieć.

- Otworzyłem przed ludzkością możliwości kontaktowania się na wielkie w skali człowieczej odległości i to kontaktowania się bezpośredniego, takiego jak w rzeczywistości, Faktycznie bez żadnej różnicy. Wszystko odbywa się i czuję się tak jakby to istniało naprawdę.

- Nie wiem czy ludzkość będzie ci za to wdzięczna. Zabiłeś tak pobudzającą uczucia i intelekt tęsknotę na odległość, wszelkie odcienie nostalgii. Stwarzasz przy tym każdemu w tym kręgu naszego Układu Słonecznego dodatkowe trudności. Widzę, że samemu z tych stworzonych przez siebie kłopotów trudno ci wyjść.

- Może masz rację, może masz rację - powtarzał przez chwilę zamyślony. I zaraz począł kontynuować swoje zwierzenia.

Już od pierwszych doświadczeń z bazą księżycową pośród załogi dostrzegł bardzo młodego człowieka, który wydał mu się znany, bliski.

Gdzie ja go mogłem wcześniej spotkać? - zastanawiał się już od pierwszej chwili. A z każdym nowym spotkaniem pewność, że już się wcześniej spotkali rosła i - jak wkrótce okazało się - prześladowała ich obydwu.

Poznali się, przesiadywali często we wspólnym doświadczalnym pomieszczeniu. Z czasem rozszerzyli teren swoich prób na okolice bazy. W tym celu Piotr musiał uczynić swoje laboratorium ziemskie niezwykle hermetycznym a równocześnie sam zaopatrzył się w skafander. Pustka księżycowej ziemi, z jej wszelkimi surowymi prawami, miała się zmieszać wkrótce z przytulną atmosferą ziemskiego labu Piotra.

Był to niezwykle, wręcz niesamowity eksperyment naukowy. Cała aparatura laserowa i wszelkie jej korektory elektromagnetyczne zostały ustawione tak, że Piotr i jego młody przyjaciel Igor Ragin, obydwa w skafandrach z wielkimi, pleksiglasowymi kulami na głowach, spotkali się na miałym wyboistym wydmuchu nieopodal bazy. W dodatku widać było doskonale krajobraz dalekiej Ziemi - sceneria jak z fantastycznego filmu.

Dokładne rozejrzenie się jednak psuło ten obraz, czyniąc go jeszcze bardziej uduchowionym. Tu i ówdzie wylaniały się ni stąd, ni zowąd wspaniałe stare obrazy z gabinetu Piotra. A przed wejściem do bazy widać było kilka stopni amfiteatru.

Uściskali się niezgrabnie, ich wielkie kroki w warunkach odmiennej siły ciężenia były śmieszne i nieskoordynowane.

- Czegoś takiego jeszcze nie było. To nowa epoka - zawołał przez mikrofon Ragin.
- Nie spodziewałeś się, że zostaniesz pionierem nowych sposobów eksploracji kosmicznej?
- Ani mi się śniło.

Ragin już samą swoją posadę księżycową traktował jak wielką wspaniałą przygodę, jakkolwiek coraz więcej osób spoza ścisłego grona kosmonautów od kilkunastu lat angażowano do różnych wypraw w przestrzeń pozaziemską.

Teraz nagle i niespodziewanie jego nazwisko miało wszelkie szansę wejścia do historii. Piotr, spośród sześciu zatrudnionych w bazie osób, właśnie Igora Ragina wybrał do odbycia historycznej przechadzki.

Już dawno wymienili wszystkich swoich krewnych i znajomych poszukując źródeł swej przyjaźni, swego poczucia bezpośredniej bliskości, które towarzyszyło im od pierwszego spotkania. Na próżno; byli sobie coraz bliżsi, chociaż nic nie wskazywało na jakiegokolwiek związku krwi czy dawniejsze znajomości.

- Wiesz, kto będzie pierwszy, kogo spróbuję zelektryzować tym naszym wspólnym spacerem?

- Oczywiście Ania.

Ragin znał perypetie małżeńskie starszego przyjaciela i wraz z nim głowił się ciągle jak wyrwać Anię z marazmu.

- Może to jest sposób - dodał.
- Napewno.

Mieli od dawna wszystko przygotowane, wahali się tylko w jakim momencie włączyć Anię

do księżycowej przyjaźni. Bali się, że zaprzepaszczą tę ostatnią szansę i odkładali i dnia na dzień ten wspólny kontakt. Teraz uznali, że nadszedł czas.

W chwilę później gabinet, a raczej niejasne cienie gabinetu w laboratorium zamieniły się na pełen obrazów pokój, w którym zazwyczaj przesiadywała Ania.

Stanęli obaj przed nią w swoich skafandrach, ale spotkanie odbyło się w przedsionku bazy ze względu na niebezpieczeństwo jakie groziłoby Ani, nie przygotowanej na peregrynacje po księżycowej, niezbyt sprzyjającej ludziom, glebie.

- Po raz pierwszy wydało mi się wówczas, że ona jest zadowolona z niespodzianki - mówił mi Piotr. - Podany jednak skafander naciągała na ciało z całkowitą, właściwą sobie, obojętnością i gdyby nie nasza pomoc, czynność ta trwałaby godzinami.

Obydwaj w tym momencie zderzyliśmy się z jej niesamowitą biernością. W oczach Igora widziałem łzy.

Piotr przerwał. Siła tego wspomnienia musiała być wielka, bo był zapatrzony gdzieś przed siebie jakbym nie istniał, jakby jeszcze raz przeżywał tamtą scenę, I on także miał w oczach łzy, choć nigdy nie zauważyłem w nim skłonności do prymitywnego sentymentalizmu.

Milcząc siedzieliśmy naprzeciw siebie.

- Ten spacer - powiedział mi - ten spacer był jednak przełomem, choć żadne z nas nie zdawało sobie z tego sprawy. Prowadziliśmy ją piękną i chłodną, jak gdyby martwą w tym skafandrze, przez niezwykle jasne, zalane słońcem białe księżycowe wertepy. Ile to trwało? Trudno powiedzieć. Nikt z nas się nie odzywał.

- Masz już dość? - zapytał Piotr po pewnym czasie.

Jedynym, ledwo dostrzegalnym gestem na jaki się Ania zdobyła w odpowiedzi było skinienie głowy. Szybko dotarli do przedsionka. Nastąpiła zmiana kostiumów, I rozłąka.

- Gdy - może w jakąś godzinę po tej wspólnej księżycowej przechadzce - wróciłem z laboratorium do Ani, powiedziała cichutko:

- Chcę tam jutro powrócić.

- Natychmiast zdałem sobie sprawę - powiedział Piotr - że ona jest zafascynowana Igorem.

Na razie w naszym życiu nic się nie zmieniło. Ona oczekiwała na swoje jutro w pluszowym fotelu - jeśli w ogóle na coś oczekiwała - apatyczna jak zwykle, nieobecna. Obserwowałem ją dokładniej niż zwykle i zauważyłem, że jednak reaguje na wszystko co dzieje się dokoła niej: na muzykę, na radiową gadaninę, na obrazy telewizyjne. Reakcje były słabe, powiedziałbym trafniej -

ukradkowe. Takie, żebym ja ich nie spostrzegł. Dla mnie starała się być nieobecna.

Mówienie jej o tym (próbowałem) okazało się bezcelowe. Pod moim spojrzeniem stygła i drętwiała.

Nazajutrz, po krótkich przygotowaniach, zaaranżowałem następną wycieczkę na Księżyc.

Znowu spotkaliśmy się z Igoern w przedsiönku bazy, znowu niezwykle opornie poszło wciąganie kombinezonu. Martwota nie mijała. ! znowu spacerowaliśmy w białym słonecznym świetle, kiedy to zdarzył się jeden pozornie drobny incydent - tak, tylko pozornie drobny. Ja jednak odczułem to, jakbym zawisł nad przepaścią.

Na miałkim księżycowym gruncie, nie przyzwyczajony do chodzenia wielkimi skaczącymi krokami, potknąłem się. Upadłem. Igor z Anią poszli dalej, jakby tego w ogóle nie zauważyli.

Szli tak dość długo, I dopiero gramoląc się z drobnego żwiru i piachu, spostrzegłem, że się zatrzymali, że się niechętnie oglądają i z ociąganiem zawracają.

Gdy podeszli do mnie, szybko zaproponowałem koniec spaceru. Kochałem Anię, kochałem Igora, ale razem ich mieć koło siebie już nie chciałem, I to była właśnie dla mnie ta przepaść, nad którą się znalazłem.

Traciłem już nie tylko Anię.

Traciłem ich oboje.

Piotr przerwał swoje opowiadanie. Zanim zdołałem mu przeszkodzić znalazłem się wraz z nim w głównym pomieszczeniu bazy księżycowej. Dowódca bazy - znany kosmonauta, którego twarz dziesiątki razy ukazywały trójwymiarowe ekrany telewizorów - okazał wyraźne zniecierpliwienie.

- To znowu pan, Piotrze. Mieliśmy już zaprzestać tych seansów.

- Nie potrafię, nie mogę.

- Ależ tłumaczyłem panu, że Igora Ragina nie ma już w bazie od roku. Człowiek o tym nazwisku miał zresztą całkiem inną twarz od tej jaką mi pan pokazał na zdjęciach. To całkiem kto inny.

Piotr stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ubrania, skulony, bezradny. Patrzyłem na obydwu rozmówców zupełnie zaskoczony. Jak to, to znaczy, że Ragin w ogóle nie istniał? Że nigdy go nie było?

- Chciałem mieć świadka - tłumaczył się Piotr - to jest mój stary przyjaciel - rzekł wskazując na mnie i przedstawiając mnie komendantowi bazy.

- Pokazywałem pańskiemu przyjacielowi wszystkie dokumenty bazy, zresztą on sam wielokrotnie łączył się z naszymi zwierzchnikami. Wszyscy mu to samo powiedzieli. Jego Igor Ragin jest całkiem kimś innym niż nasz były kolega, który zresztą służył tu w całkiem innym okresie niż ten, o który chodzi profesorowi Ligęzie, Nikt z nas nie ma żadnych powodów do ukrywania kogokolwiek lub przeinaczania faktów.

- Wierzę - odparłem. - Chodź, chodźmy Piotrze.

Znowu wróciliśmy na nasze fotele w amfiteatrze. Patrzyłem na przyjaciela z ogromnym współczuciem. Podążał dalej za swoimi myślami. Wyglądało to tak, jakby sam sobie to wszystko opowiadał. Rozdrapywał rany.

- Jeszcze tego samego dnia, kiedy nasz spacer skończył się tak przedwcześnie, zaraz po moim powrocie z < laboratorium, Ania podniosła się ze swego pluszowego fotela i ujmując moje dłonie zaczęła prosić o następne spotkanie. Były to słowa krótkie, urywane, pomieszane z łkaniem. Jak prośba człowieka ratującego się przed śmiercią.

Odrąciłem ją, Wybiegłem z domu.

Wróciłem do laboratorium.

Natychmiast połączyłem się z bazą księżycową. Rozmawiałem z Igorem. O czymkolwiek, o sprawach zupełnie dla mnie obojętnych; wypytywałem go wtedy o jego wrażenia z Księżyca.

Zajmował się, jak mi było wiadomo, rozwijaniem programu OAZA. Z zawodu był biologiem, przeszedł specjalne doksztalcenie astrobotaniczne i parał się hodowlą roślin w specjalnych przezroczystych cieplarkach napełnionych równie przezroczystym ziemskim gruntem. To znaczy substancją wiernie odpowiadającą ziemskiemu gruntowi ogrodowemu, lecz tak spreparowaną, żeby wszystkie zachodzące w niej procesy były najdokładniej widoczne.

Chodziło o stwierdzenie, jak zachowują się rośliny uprawne w warunkach osłabionego księżycowego przyciągania -i sztucznej cieplarnianej atmosfery. Dodawano różnych preparatów enzymatycznych aby uzyskać dobre i wartościowe plony. Wszystko z myślą o poszerzeniu bazy i przedłużeniu ludzkiej w niej egzystencji.

- Gadałem z nim o tych sprawach, które dawniej mnie bardzo interesowały, a teraz stały się obojętne - żeby tylko gadać, żeby z nim rozmawiać, żeby dać jakikolwiek pretekst do mojej z nim rozmowy...

Odpowiadał półsłówkami, blade, roztargniony. Wiedziałem doskonale o czym myśli i co o mnie myśli.

Gadałem i gadałem.

Przerwał mi gwałtownie, z taką gwałtownością jakiej u niego jeszcze nigdy nie zauważyłem, a ciągle byłem przecież pewien, że znamy się od dawna, choć żadnych dowodów na to nie było.

- Rozłączyłeś nas. Słuchaj, co teraz zrobisz, co stanie się z nią? Anią!

Musiałem go usunąć z zasięgu swego wzroku. Zrobiłem wszystko, żeby go usunąć również ze swej pamięci.

Błyskawicznie zakończyłem seans. A później przez długie godziny jakoś nie potrafiłem nawiązać łączności, choć dalibóg - chciałem, chciałem wszystko odwrócić.

Pobiegłem do domu. Ania tkwiła w pluszowym fotelu zupełnie zastygła, blada, oddychając ledwo dostrzegalnie.

Powiedziałem jej, że już pozwalam na dalsze spotkania i że nie będę więcej przy nich obecny, że ich zostawię samych. Samych. Tak jest! Nie reagowała.

Uruchomiłem aparaturę laserową, i wtedy się zaczęła ta cała gehenna z bezskutecznym szukaniem Igora. Nie mogłem go odnaleźć.

„Nigdy takiego nie było” - odpowiadano, i ona słyszała to odtąd bardzo często.

Czekała na połączenie chodząc po pokoju, ręce latały jej ze zdenerwowania. Ilekroć usłyszała, że go nigdy nie było, uspokajała się. Zasiadała w swym fotelu zastygła jak gdyby w letargu, a kiedy włączałem ponownie aparaturę biegała jak szalona po pokoju.

Wyroku nie można było zmienić. Nic się nie dało zrobić. Rozumiesz, w dalszym ciągu nic zrobić nie potrafię.

- Słuchaj - powiedziałem to bez przekonania, tak aby tylko coś uspokajającego wymyślić - słuchaj, on mógł powstać w twojej wyobraźni, ten Igor. Dlatego był ci wtedy tak znany i bliski i dlatego być może tak szybko zainteresował Anię.

- Powiadasz?- zastanowił się. - To bzdura. To z nauką nie miałyby nic wspólnego. Niemożliwe.

Ale zabiłem mu widać klina. Po chwili powiedział:

- Zawsze wierzyłem w świeżość refleksji i obserwacji laików. Dla nauki taki odżywczy nurt bywa często koniecznością. Inaczej grozi nam kompletne zrutynizowanie badań. Powiedziałeś więc, że ja go sobie wyobraziłem?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na niego z litością.



Zrobił taki ruch, jakby za chwilę miał uruchomić tę swoją aparaturę i przenieść się jeszcze raz do bazy księżycowej.

Wstrzymał się jak wirtuoz mający za moment uderzyć w klawisze fortepianu i rozpocząć wielki koncert. Robił wrażenie człowieka stremowanego ale poczynającego wierzyć w swoje możliwości, w swoje powołanie.

- A więc dobrze robię, że ciągle utrzymuję kontakt z bazą. Dobrze robię. Trzeba badać, nieustannie badać. Masz rację. Głupi ten komendant z tą swoją przyziemną wiedzą i arogancją. Ach, ci technicy.

Znowu zrobił pauzę i, jakby usprawiedliwiając się przede mną, już bardzo słabym głosem dodał:

- Spróbuję się za chwilę połączyć. Przecież nasze marzenia są jak nasze ciała i jak wszystko w nas - materialne, więc może także dadzą się przenosić za pomocą mojej aparatury - To byłaby prawdziwa bomba! i to jaka!

Pożegnałem *go*, obiecując, że wrócę nazajutrz. Zamiast do bramy wyjściowej, z lekka zakamuflowanej - trochę, przypadkowo, a trochę kierowany ciekawością - zszedłem do piwnicznych pomieszczeń. Wiedziałem, że tam jest cała stacja laserowa.

Schody były szerokie jak na piętrach, z których zresztą można było zjechać kilkoma wygodnymi, automatycznymi windami.

Małe roboty nie wpuściły mnie do środka wielkiej podziemnej hali, lekko tylko oświetlonej czerwonym przymglonym i bardzo rozproszonym światłem.

Cały las złożony z przezroczystych pni -tub laserowych - tkwił w tym pomieszczeniu, gęsto, bardzo gęsto, jeden pień obok drugiego. W pniach pulsowało takie samo, lekko błyskające czerwone światło. W chwili, gdy wszedłem, zaczynało się rozjaśniać, aż osiągnęło - stopniowo przechodząc przez całą, jakże cudowną gamę kolorów - czystą, wielką, przeraźliwie jasną biel.

Z pobliskiego akceleratora cząstek wpadały do każdej lufy strumienie rozpędzonych elektronów o energii setek milionów Voltów. Tu porywały je w śrubowy straszliwy wir magnesy nadprzewodzących sprężyn. Pod ich wpływem światło oczyszczało się. Stawało się jednym spójnym, niezwykle silnym, ostrym strumieniem, nabierając rozpędu miliardy razy większego niż u wejścia do luf.

Stałem wybielony tym dowolnie zmieniającym barwy blaskiem laserowym, który mnie prawie oślepił.

Wiedziałem, że w tej chwili mój przyjaciel Piotr kierując te lufy poprzez swoje laboratorium ku bazie księżycowej, przenosi się tam w poszukiwaniu, w nieustannym poszukiwaniu swojej naukowej i życiowej prawdy.

- Ach, jaki się zrobiłem pod wpływem tej historii patetyczny! - powiedziałem do siebie, obiecując, że już ani jego, ani nigdy nie odwiedzę. Ale już wtedy nie byłem pewien, czy dotrzymam tej obietnicy.

## **JAK KOŃ TROJAŃSKI**

Zastanawiałem się bardzo długo czy to spotkanie było naprawdę przypadkowe, czy też z góry je zaplanowano i bardzo chciałem wiedzieć, jaką rolę w tym planowaniu odegrała Viola. Kiedy pytałem ją o to otwierała szeroko swoje błękitne, ogromne oczy z wyrazem takiego kosmicznego zdziwienia, że czułem się natychmiast rozbrojony i śmieszny.

Po wyprawie na orbitę wokół Saturna, która dała się nam we znaki do tego stopnia, że nieprzytomnych ściągnano nas na Ziemię, odbyliśmy krótką kwarantannę szpitalną. Żadnej choroby jednak nie stwierdzono. Po prostu byliśmy wyczerpani i intensywna terapia snem szybko przywróciła nam siły. Z tym, że Alan i Gieorgij już po tygodniu wyszli ze swoich błękitnych separatek i dotąd nie wiem, gdzie się teraz podziewają. Wyszedłem grubo później i próbowałem z nimi nawiązać kontakt poprzez władze Międzynarodowego Ośrodka Kosmicznego, ale otrzymałem odpowiedź, że obydwaj moi koledzy zrezygnowali z lotów i powrócili do swych rodzinnych miejscowości.

Jeszcze kilkakrotnie usiłowałem się dowiedzieć gdzie przebywają, ale nikt mi tego nie umiał, lub nie chciał, dokładnie wyjaśnić.

Wydaje mi się to bardzo dziwne i, choć nic na to nie wskazuje, wiąże to z tym, co dzieje się ze mną i z Violą. Po wyjściu ze szpitala zostałem wysłany nad odosobnioną zatokę, na samym skraju półwyspu Yeldes we wschodniej części Argentyny. Mieszkałem w willi naszego ośrodka. W pobliżu, tuż nad piaskiem plaży, wśród zieleni palm i gęstych krzewów rozmieszczone były trzy niewielkie pawilony stacji badawczej kierowanej przez doktora Huberta Griyasa - sympatycznego Greka, który nie wiadomo jak i dlaczego zawędrował aż tutaj. Opodal, w głębi lądu, leżała wioska indiańska, na której cywilizacja zdążyła już wycisnąć swoje piętno ruinami siedemnastowiecznego kościółka na wzgórzu i kilkanaście kikutami po-klasztornych budynków.

- To najspokojniejsze miejsce na świecie. W sam raz na twój wypoczynek po tym

wszystkim.

„To wszystko” zasnęła szybko kompletna mgła. Leczony snem nie odróżniam swojej dramatycznej podróży od sennych rojeń, I wolałem nie myśleć ani o Saturnie ani o szpitalu.

Violę spotkałem trzeciego dnia po swoim przybyciu nad zatokę. Było właśnie po typowej podzwrotnikowej burzy. W ciągu godziny z błękitnego raję zrobiło się czarne, przebite tysiącami błyskawic piekielko z morzem huczącym tak, że w moim pokoiku na piętrze wydało mi się, iż jestem w wielkiej kabinie naszego „Mega 1” i zbliżam się właśnie do powierzchni Saturna.

Uruchomiliśmy wtedy wszystkie silniki, jakimi dysponował nasz pojazd i obciążaliśmy je pełną mocą. Drgania i ryk były tak straszliwe, że wkrótce zaczęliśmy tracić przytomność. A Saturn ciągnął nas do siebie z siłą, jakiej nikt się po nim nie spodziewał.

Przypomniało mi się to podczas burzy i znów popadłem w stan, którego tak bardzo obawiali się lekarze podczas mego pobytu w szpitalu.

- Najspokojniejsze miejsce na świecie - powiedziałem z kpina doktorowi Grivasowi, gdy nawałnica minęła i kiedy zdołałem przebrnąć przez zawałone pniami palm alejki ośrodka badawczego.

- To się tu zdarza niezwykle rzadko. Przeżyłem to tutaj zaledwie parę razy - odparł przyglądając mi się uważnie. - Zbadam cię. Dobrze?

Wtedy po raz pierwszy odniosłem to przykre wrażenie, że ktoś mi się uporczywie przygląda.

Rozejrzałem się. Grivas patrzył w inną stronę, rozkładał swoje aparaciki przygotowując się do badania.

- Nie mam najmniejszej ochoty - odpowiedziałem.

Odwróciłem się na pięcie i poszedłem na plażę. Zdjąłem buty i brnąłem w mokrawym jeszcze piasku, wiedziony tym niewidzialnym, magnetycznym spojrzeniem.

- Ładnie mnie wyleczyli - myślałem.

Na plaży za wysokim białym murem wydm, dojrzałem wtedy rozwaloną łódź: pomalowany na czerwono mały jacht z resztkami masztu. A parę metrów dalej rozciągnięte nieruchomo opalone ciało Violi.

Leżała wbita głową w piach. Znam się dobrze na ratownictwie. Próbowałem więc sam ją ocucić, ale nic z tego nie wyszło. Wziąłem ją na ręce i przenieśliem do Griyasa.

Wtedy dowiedziałem się od niego o położonej stąd w odległości około 70 mil nowoczesnej

miejscowości klimatycznej. Malutkie miasteczko Puerto Parias nad zalewem nastawione było na turystów, którzy szukają morza i spokoju.

- Jej ojciec to kierownik zakładu wodoleczniczego, lekarz jak i ja - powiedział Grivas. - Pewnie szaleje z rozpaczy, spróbuj się z nim połączyć.

Poszedłem do stacji wideofonowej. Chciałem zobaczyć ojca tej dziewczyny, która właśnie otwierała swoje ogromne, błękitne oczy.

Odebrał jakiś facet, który nie zdążywszy nawet się przedstawić krzyczał pełen podniecenia:

- Violę pan znalazł, u was nad zatoką? Była z ojcem na wycieczce na morzu. Ją tylko pan znalazł?

Wkrótce nad ośrodkiem w naszej zatoczce zahuczał silnik koleoptera. Niewielka maszyna pionowo spadała ku ziemi, zatrzymując się tuż nad jej powierzchnią na słupie powietrza. Wysiadło z niej kilku funkcjonariuszy z tamtego miasteczka. Badali i gadali. Viola była jeszcze za słaba, żeby móc odpowiadać. Sprawa wydawała się tragicznie jasna: podczas wycieczki złapała ich burza, rozwalila jacht, zabiła ojca Violi, jego ciała nigdy nie znaleziono.

Najpierw, kiedy ona jeszcze czuła się słabo, jeździłem do niej, potem ona zaczęła coraz częściej bywać u mnie, a po tygodniu została. Wtedy zaczęło się we mnie to, co przyprawiało mnie o dreszcz przerażenia. Coraz częściej czułem na sobie spojrzenie (tak to określałem), którego nie potrafiłem zidentyfikować. A ostatnio z mego gardła zaczął się wydobywać skrzekliwy charkot. Robiłem *to* mimo woli, jakbym mówił w jakimś obcym języku. I wydawało mi się, że Viola doskonale ten język rozumie.

Kiedy jej o tym po raz pierwszy powiedziałem, spojrzała na mnie tym swoim zdziwionym wzrokiem"

- O czym ty mówisz? - zapytała z przerażeniem w głosie.

Było w tym pytaniu tyle szczerości, że nie śmiałem jej więcej powtórzyć swoich idiotycznych podejrzeń. Zacząłem się natomiast obawiać, że szybko stracę i Violę, i ten cudowny błękitny morski krajobraz, s to szczęście, któregośmy oboje doświadczyli, i utoną sam w sobie, w swoim niepokoju, w swoim szaleństwie. Byłem coraz pewniejszy, że nadchodzą mnie coraz częściej chwile prawdziwego szaleństwa. Postanowiłem się przebadać u Gnyasa, zaprzysię-gając go najpierw aby nikomu o moich niepokojach nie mówił. Obawiałem się, że doniesie o tym władzom w Ośrodku Kosmonautycznym a one skończą z moim urlopem. Znowu ułożą mnie w szpitalu, z którego nie wiadomo kiedy wyjdę. Co wtedy stanie się z Violą?

Wlazłem do niego nie w porę, bo właśnie zajęty był badaniem Indian, którzy, ustawieni w kolejkę, cierpliwie oczekiwali na wezwanie do gabinetu pełnego różnorodnych wąsatych i świecących cyframi i wykresami aparatów. Pisał jakąś pracę na temat długowieczności tych ludzi, ze-psutych już trochę wprawdzie przez cywilizację (zdarzały się przypadki narkomanii i alkoholizmu), ale w większości starających się zachować stary obyczaj. Przede wszystkim w trybie dnia i odżywiania. To dawało podstawy do przypuszczenia, że przyczyny długowieczności tych ludzi zostaną wykryte.

- jesteś jakiś podniecony - powiedział przerywając swoją robotę,

- Tak, przyszedłem do ciebie z prośbą o pomoc.

Wyszedł na ganek. Poprosił tych ludzi w ich narzeczu, aby przyszli nazajutrz.

Odeszli cicho szybko, bez narzekań, w kierunku swojej wioski. Stałem za doktorem na ganku i patrzyłem jak znikali w niskich zaroślach, nad którymi wystrzelała daleka i delikatna wieżyczka starej kościelnej ruiny.

Opowiedziałem mu wszystko, i o poczuciu, że jestem co pewien czas śledzony przez jakiś niezwykle silny, magnetyczny wzrok, i o charkotliwym języku, w którym coraz swobodniej wyrażam myśli nieprzetłumaczalne na nasz język.

Już, już miałem wyjawić mu nawet swoje głupie podejrzenie w stosunku do Violi, ale w tym momencie ugryzłem się w język.

- No i z kim rozmawiasz tą swoją nową mową? - pytał Leż cienia żartobliwości w głosie.

Był poważny i naprawdę zatroskany, choć przecież moje opowiadanie nawet dla mnie samego brzmiało niedorzecznie, wręcz śmiesznie

- Widzisz, to pewnie %ą majak" - powiedziałem mu.

- Znasz mój stosunek do Violi. Nie chcę tego zrywać. A boję się, że gdybym to wyznać tan, gdzie powinienem, zabraliby mnie, stąd

- Racja. Spróbujemy na razie delikatnych środków - poradził.

Uściskałem go serdecznie. Rozumiał mnie. Byłem pewien, że zechce mi pomóc. No, głowa do góry. I wówczas, gdy śmiał się do mnie swoim miłym uśmiechem, wydało mi się, że on jest mną i że mówi do mnie tym chropowatym, paskudnym językiem. Ciarki mnie przeszły na tę myśl.

Mimo woli odparłem mu w tym samym języku. Nie potrafię jednak powiedzieć o czym mówiliśmy. Mówiliśmy jednak o tym, co było dla nas obydwu zupełnie oczywiste.

Cofnąłem się. Zbiegłem ze schodków białego pawilonu i biegiem podążyłem na plażę.

Wrażenie, że ktoś śledzi mnie silnym wzrokiem stało się wprost nie do zniesienia. Zawróciłem do domu. I dopiero widok Violi opalającej się na leżaku (zawsze przestrzegałem ją przed tym ostrym, niebezpiecznym słońcem) przywrócił mi równowagę.

Spojrzała na mnie uważnie.

- Patrzyłam na ciebie już od dawna. Dziwnie się zachowywałeś.

- Co to znaczy dziwnie? - wstrząsało mną przerażenie. Staralem się zapanować nad sobą.

- Biegałeś to prosto, to zygzakiem, wykonywałeś jakieś ruchy, wymachiwałeś rękoma jakbyś z kimś się kłócił. Pytałeś mnie przedwczoraj o coś niesamowitego, pamiętam to dokładnie. Kochany, powiedz, co się z tobą dzieje?

Wiedziała doskonale o mojej podróży na Saturna i o przeżyciach z nią związanych.

Donosiły o tym wszystkie na świecie środki masowego przekazu. Bała się o mnie tak, jak i ja bałem się o siebie.

- Pamiętasz co widziałeś na Saturnie? Co przywieźliście jako materiał badawczy, ty i twoi koledzy?

Nie chciałem tego pamiętać.

- Ach, po co będziemy o tym mówić? - machnąłem ręką.

- Powiedz, coście przywieźli.

- Nic. Właściwie zupełnie nic. Nasz robot zaczerpnął próbki tej ziemi. Znalazły się natychmiast w jałowym pomieszczeniu. Czemu o to pytasz?

- Nic, tak sobie.

Wyraźnie zdawała się łączyć przeżycia mojej podróży ze stanem psychicznym, w który teraz popadłem. Myślała z początku, że ten wypoczynek to normalna kolej losu ludzi wędrujących w przestrzeń międzyplanetarną. Uważała mnie za zwyczajnego, normalnego człowieka.

Tymczasem okazywałem się całkiem inny: chory. Podeszła do mnie leciutkim krokiem, objęła mnie i prowadziła jak małe dziecko:

- A teraz powiedz mi prawdę. Co tam, nad Saturnem przeżywałeś? Powiedz mi, błagam cię, powiedz!

Nie chciałem absolutnie do tego wracać. Miałem jej opisać każdy szczegół swego umierania? Albo jednym słowem - umieraliśmy tam - skwitować wszystkie przeżycia. Nie czułem się na siłach.

Zresztą jej język, ach ten jej język. Kłamał temu co mówiła, mówiąc do mnie zwyczajnie,

po ludzku charczała treści, których po ludzku sobie nie można było uzmysłwić. Nie mogłem na nią patrzeć. Na jej blond - słodycz, prawdziwie ziemską, banalną, pocztówkową, z której tła wybiegała naprzeciw mnie inna istota. Istota, którą rozumiałem, nie potrafiąc zrozumieć ani słowa, z którą mówiłem specjalną mową, tkwiącą w nas gdzieś podskórną, dominującą nad ludzkim tekstem.

Uciekłem.

Wąłęsałem się znowu po plaży gnany niewidzialnym, magnetycznym spojrzeniem o coraz to większej sile.

Słońce - jak to bywa na południu - nagle i gwałtownie utonęło w morzu, zaciągając na niebo gęstą granatową powiekę. Zrobiła się noc.

Powolutku szedłem w kierunku wioski rażony ciemnością, nieustannie już teraz rozdwojony, jakbym towarzyszył samemu sobie.

Gdy mijalem z dala willę, w której mieszkaliśmy zdawało mi się, że słyszę rozpaczliwie rozdzierające ludzkie wołanie Violi, ale pomyślałem sobie, że gdyby naprawdę mnie wołała dochodziłoby to do mnie z wielokrotnie większą mocą. Jej głos wydobywał się jakby z głębi mojej pamięci. Tym bardziej przyśpieszyłem kroku.

Wioska już spała. Tylko w niektórych niskich, wylepionych gliną domkach błyskały światła elektryczne. Wieży kościółka nie było w ogóle widać na tle północnego nieba.

W pierwszej chwili nie rozumiałem pytania zadanego mi w tutejszym narzeczu przez małego ciemnego człowieczka, którego brązowa skóra rzucała się w oczy w świetle żarówki skierowanej na wnętrze silnika.

Stary człowiek grzebał w bebeczach samochodu sprzed ćwierćwiecza i nie przerywając tego zajęcia skierował na mnie wzrok. Coś mówił. Powtórzył swoje pytanie.

- Dokąd o tej porze?

Okazało się, że doskonale wie gdzie i z kim mieszkam a także po co tu przyjechałem. Dał mi to natychmiast do zrozumienia, zachowując przy tym dystans pełen uszanowania i subtelnej dyskrecji.

- Spaceruję - odparłem, nie wiedząc właściwie jak usprawiedliwić swoją obecność w wiosce, do której przecież dotąd nigdy nie wstępowałem. W dzień zdarzyło mi się tędy przejeżdżać kilkakrotnie, szczególnie wówczas, gdy zaczęła się moja znajomość z Violą.

- Przepraszam, że się wtrącam - powiedział wtedy stary - znowu dziś będzie burza, niedobra

pora do spacerów.

- Doktor Grivas, pan zna doktora, opowiadał mi, że takie burze są rzadkością.

- To prawda- były rzadkością - odparł przyglądając mi się z wielką uwagą. - Ale ostatnio zdarzają się coraz częściej.

Otworzył usta jakby chciał coś jeszcze dodać, ale je zaraz zamknął i odwrócił ode mnie twarz. Pochylił się

mocniej nad silnikiem, cień samochodu Skrył jego postać.

Ukrył się umyślnie - pomyślałem, strofując się za to posądzenie. Czułem się przecież chory, rozdwojony, przewrażliwiony. Po raz pierwszy bodajże pomyślałem o tym, co być może powinienem był pomyśleć w chwilach największej grozy tam, na orbicie nad Saturnem: „mego zawodu nie da się uprawiać bezkarnie”. Może ta refleksja nasunęła mi się właśnie teraz, kiedy mój zawód wydawał mi się zawodem innego człowieka, dalekim echem, czymś tylko opowiedzianym, bajecznie nierzeczywistym.

Podszedłem bliżej.

Stanąłem w kręgu ostrego światła żarówki. Starego nie było. Czyżbym uległ halucynacji? Nad rozbebeszonym silnikiem nie było nikogo. Ani żywej duszy.

Nie wiem dlaczego wówczas zobaczyłem z ogromną plastycznością tamten obraz. Przez czarne przestrzenie międzygwiazdne i międzyplanetarne pędzą gnane krótkimi, elektromagnetycznymi falami, tysiące malutkich istnień, tysiące świadomości, miliony świadomości, same żywe myśli. Ich celem jest być, istnieć. Poczułem nagle Wielką radość życia.

Podszedłem do chaty. Zapukałem.

Musiałem się przekonać. Drzwi skrzypiąc otwarły się i stanęła w nich stara kobieta. Zapytałem o jej męża.

- Był przecież przed chwilą - tłumaczyłem jej, żywo gestykulując, bo bałem się, że mnie nie zrozumie! ruchami pragnąłem jej przekazać choć cząstkę informacji.

Potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiem - broniła się przestraszona - |Ule nie rozumiem.

Wtedy znowu pojawił się stary. Odsunął ją. Stał w czarnym otworze rozwartych lekko drzwi. Światło żarówki docierało tu tylko nieznacznym płytkim półcieniem. Usłyszałem przerażony okrzyk kobiety. Usłyszałem znany mi, jakże podobny do mego, Violi i Grivasa, skrzek.



Dopiero po tym dobiegły mnie słowa:

- Grivas tego nikomu nie opowiada. Ale rok temu! spadła tu do morza wielka ognista kula, meteor. Od tego! czasu burze są częstsze i silniejsze.

Wyznanie to uczynił tonem tak błagalnym, jakbym to ja; był tym, który może na to coś poradzić. Kto wie czy nie obwinał mnie o sprowadzenie do wioski charczącej zarazy.

Miałem więc odpowiedź na swoje pytanie. Podwójną.

Wydała mi się decydująca i przez to ogromnie dramatyczna. Drzwi się zatrzasnęły. Przeszedłem przez klepisko, na którym sterczał wrak samochodu pod ostrym światłem żarówki i biegiem podążyłem w kierunku willi.

Zadyszany wpadłem do pokoju. Gnany tą radością, tą chęcią życia, jakiej nigdy jeszcze nie czułem.

Violi nie było.

Znowu poczułem to magnetyczne spojrzenie, l pędem - choć bardzo byłem już zmęczony - znalazłem się na piasku plaży. Wołałem, darłem się na cały głos:

- Viola! Viola!

Czerwony księżyc wychylał się nad pocztówkowe, spokojne morze, czarna otchłań jak gdyby ożyła, nabrała rumieńców. Morze wydawało się teraz ogromną, żywą istotą, o mocnym równomiernym oddechu. Przybój zalał już połowę piachu. Za wydmami woda sięgała aż po kostki. Z głową wbity w ten zalany wodą piach leżała Viola. Wyglądała jak strzała wypuszczona niedawno z łuku. Szczupła, smukła z lotkami rąk lekko rozpostartymi.

Za mną przybiegł Grivas. Nieśliśmy wspólnie to ciało gibkie i bezwładne.

Jedyne słowa na jakie się zdobyłem u progu salki operacyjnej:

- Da się jeszcze uratować?

- Myślę, że tak - odparł uruchamiając swoje instrumenty i aparaty. Otoczyły ją ułożoną na białym stole delikatne ramiona imaków.

Zauważyłem wówczas jak Grivas wydobywa z jej zaciśniętych dłoni jakieś twarde małe przedmioty, jak gdyby

kamyczki. Jeden z nich upadł na ziemię z głośnym stukotem. Podskoczyłem i podniosłem to. Miałem w ręku coś, co przypomniało gaśienicę. Tylko zamiast obłego, miękkiego ciała natrafiłem na skamieniały, pancerny czerep.

Grivas podbiegł do mnie, wyrwał mi tę gaśienicę z ręki i wrzucił ją gwałtownym ruchem,

jak pozostałe wyjęte i rąk Violi, do pojemnika o grubych, zapewne ołowianych, ściankach, który natychmiast przykrył cienkim wiekiem.

Wtedy uświadomiłem sobie, że odczuwam wielką ulgę, ciężar jakiś spadł mi z piersi, ustąpiło wrażenie nieustannego pozostawania pod czyjąś mocną i baczna obserwacją.

- Więc to tak...

Musiałem to powiedzieć głośno. Być może krzyknąłem nawet.

Grivas zastawił mi drogę do pojemnika. Odpychał delikatnie. Byłbym z nim walczył, gdyby spojrzenie moje nie padło w tym momencie na ciało Violi przygotowywane do zabiegu. Automatyczne imaki trzymały ją mocno za głowę podając ustom gaz usypiający.

- Wyjdź- poprosił Grivas. - Uratuję ci ją. Patrzyłem na Violę, ale myśli moje przyłgnęły do sprawy, od której zależał pewnie nasz los.

- Skąd, skąd są te gaśienice? - zagadnąłem. Byłem pewny, że nie pierwszy raz je zobaczył. Bardzo blady, starał się opanować swój niepokój, czy przerażenie.

- Z plaży. Leżą tam, gdzie morze je wyrzuca - powiedział cicho.

Wiedział na pewno co zrobię po tym wyjaśnieniu. Popędziłem natychmiast na plażę, nad którą nie było już księżycy. Chmury miękkimi, czarnymi kłębami kładły się prawie na piasku. Wichur był ciepły, potężny i duszący. Zatykał oddech. Biegłem, ale chociaż poruszałem intensywnie nogami i rękoma, tkwiłem niemal nieustannie w jednym miejscu.

Ryk morza wdzierał się do środka czaszki, wciskał się do wszystkich zakątków ciała, bił od zewnątrz i rozsadał od wnętrza. Fal nie widziałem. Ale czuło się bezpośrednią słoną bliskość morskiego cielska, jego gwałtowny, zabójczy dech. Huragan walił, po każdym uderzeniu następowały sekundy czy ułamki sekund wsysającej wszystko ciszy.

Tak właśnie zaczęło się nasze umieranie w kabinie statku, gdy znaleźliśmy się nad Saturnem.

Mimo parnego ciepła drżałem, szczękały mi zęby, trzęsły się barki i ręce i nogi. Każda cząstka ciała. Było mi słabo, coraz bardziej słabłem. Gdyby nie błyskawice straciłbym całkowicie orientację.

Powoli posuwając się na czworakach wśród huku nawałnicy, to padając, to podnosząc się dobrnąłem do ganku stacji badawczej. Wdrapałem się po schodach i dopiero w przedsionku, całkiem już bezpieczny straciłem przytomność.

Jeszcze tej samej nocy wróciła mi pełna świadomość. Poczulem się zupełnie zdrowy.

Równocześnie nasiliło się ponownie uczucie, że jestem śledzony przez magnetyczne, niezwykle silne spojrzenie. Wiedziałem od razu, że Grivas mnie ratował, że Viola wypoczywa po zabiegu w sąsiedniej separacie i także całkiem już wydobrzała. Zebrałem wszystkie siły i powiedziałem Grivasowi, chociaż ten tkwiący we mnie, drugi język przeszkadzał mi w tym:

- Słuchaj, wyrzućmy z siebie to wszystko. Pomówmy szczerze. Wydaje mi się przecież, że wszyscy troje wiemy to samo.

Stał koło mnie i uśmiechał się. Był to wyraźnie sztuczny uśmiech z wysiłkiem przywołany na twarz.

- Myślisz, że wiem więcej od ciebie - wyjąkał - a tym czasem ja także...

- A Viola?

- Ona odrzuca od siebie to drugie ja, ten język charczący, którym musimy się posługiwać, który przeczy temu co normalnie mówimy. Ona nie przyznaje się do niczego, dławi to w sobie. Myślę, że na plażę pobiegła żeby... tamto znaleźć.

- A co to właściwie jest?

Milczał. Kiwał tylko głową, nie mogąc czy nie chcąc nic więcej powiedzieć. Dawał mi na migi do zrozumienia, że nic, absolutnie nic nie wie. A przecież obydwaj wiedzieliśmy to samo.

Uchwyciłem jak dotąd jeden jedyny wyraz wspólny obydwu językom i sądziłem, że głośne jego wypowiedzenie, wyrzucenie go z wnętrza ciała przyniesie nam wszystkim ulgę lub chociażby odrobinę odprężenia.

Ten wyraz brzmiał: przetrwać.

- Przetrwać, przetrwać, przetrwać! - krzyknąłem. Wtedy Grivasowi udało się powiedzieć już ze znacznie mniejszym wysiłkiem:

- Ten ludek w wiosce, który od dawna już badam, jeśli nie cały, to w większości jest opanowany tymi samymi uczuciami co my.

- Meteoryt?

- Myślę, że on tylko wyzwolił pewne zjawiska, spotęgował je.

- Ktoś z zewnątrz? - pytałem, przypominając sobie z przerażeniem kocioł nad Saturnem.

- Nie wiem. Sądzę, że wcale nie muszą to być istoty z innej planety. Chociaż tego wykluczyć nie można.

Mimo magnetyzmu tamtego spojrzenia, które przewiercało mnie na wskroś, mimo że równocześnie porozumiewałem się z Grivasem tym swoim drugim charczącym językiem, starałem

się zmobilizować całą swą zwyczajną wiedzę, przeniknąć tajemnicę, w którą zostaliśmy uwikłani. Nie miałem poczucia winy. To, co się tu działo, przyszło wprawdzie ze mną, ale trafiło na przygotowany grunt. Tu już wcześniej zaczęło się dziać to, co teraz stawało się coraz bardziej nieznosne, ale stale towarzyszące każdemu z nas.

- Trzeba także przetrwać - powiedziałem.

Pół wieku temu cała nasza sytuacja poczytana byłaby za zbiorowy obłąd, a kilkaset lat wcześniej tańczylibyśmy w korowodzie samobiczowników, śpiewając pieśni nabożne. Teraz wiedzieliśmy znacznie więcej i mogliśmy sobie swoje zachowanie całkiem inaczej tłumaczyć. Pół wieku temu powstało równanie Drake'a, którego dziś już uczy się w każdej średniej szkole.  $N = R F 8^f p^n e^f f^{ffiel}$  Drake pisał „w tym momencie, w każdym momencie - i to jest absolutna pewność - fale radiowe wysyłane przez inne inteligentne cywilizacje padają na naszą Ziemię. Można zbudować teleskop odpowiednio usytuowany i nastawiony na tę częstotliwość, która pozwoli wykryć te fale.”

W równaniu Drake'a N to ilość zaawansowanych technicznie cywilizacji, z którymi można by się porozumieć. R odpowiada przeciętnej liczbie gwiazd formujących się z rozkreconej galaktycznej masy. Jest tych gwiazd nowo powstałych, niemalże rozżarzonych do białości lub czerwonych jak krew około 20 rocznie. Wśród tej dwudziestki  $8^f$  oznacza te gwiazdy, które nadają się na słońce systemów planetarnych, takich jak nasze, a  $f/$  oznacza, że połowa z nich ma naprawdę szansę stać się słońcami dla żywych istot myślących podobnych do nas. Pół wieku temu, gdy powstawały koncepcje starego astronoma z uniwersytetu comellskiego, uważano, że szansę istnienia takich gwiazd wyrażają się liczbą niezmiernie małą  $10^{-9}$ .

Nie wiem czy mówiłem o tym głośno, czy przypominałem tylko sobie po cichu te oczywiste sprawy.

Widziałem Violę stojącą w drzwiach, opartą o framugę, cichą i zamyśloną. Grivas sterczał nade mną bez ruchu jakby nagle skamieniał. A ja snułem po cichu czy na głos swoje krótkie fragmentaryczne rozważania. Ilość planet, na których może pojawić się rozumna forma istnienia równa się w rachunku Drake'a ponad jednostkę w każdym systemie.

- Słuchajcie - krzyknąłem w pewnym momencie - jakże mało potrzeba do narodzenia się życia, do powstania nowej egzystencji! To nie są żadne przypadki, to konieczność. W naszym systemie planetarnym zbyt gorący dla życia jest Jowisz a nazbyt chłodne warunki panują na Neptunie. Ale już nawet wielkie księżyce Jowisza czy Saturna świetnie nadają się na kocioł Pana

Boga.

W doświadczeniach, jakże dawno już wykonanych w laboratoriach, przekonano się, że miksturę metanu, amoniaku wody i wodorowego gazu można przekształcić pod wpływem promieniowania ultrafioletowego lub błyskawic elektrycznych w ogromną różnorodność aminokwasów i substancji wyjściowych do formowania się nukleotydów, cukrów i innych składników żywej materii. Wszechświat roi się od związków węgla. Roi się. Wiecie to przecież dobrze.

Małe, prymitywne sprawy - jak powiedział Drake - decydują o wielkich, niesamowicie wielkich następstwach. W poszukiwaniu tych wielkich skutków wysłano nas na Saturna. Chyba nie na próżno.

Umilkłem, zdając sobie sprawę ze śmieszności swego wykładu. Ja ledwo wyszedłem żywy z rekonesansu na drugą planetę naszego systemu a oni oboje znali to wszystko doskonale. Śmieszność polegała też i na tym, że nasza psychika zaatakowana ową tajemnicą nie różniła się od psychiki Cromagnonczyków sprzed 50 tys. lat, samobiczowników średniowiecza czy ludzi, jakich w takiej sytuacji przed pół wiekiem, nazwano by wariatami.

Byliśmy tacy sami, zawsze tacy sami. Może też zawsze rozdzieleni?

Nastawał świt, wczesny ogromnie o tej porze roku i bardzo czerwony, zwiastujący wiatry. Słońce szybko wychynęło nad gajką szpilkowy, który ciągnął się aż do linii horyzontu, tu i ówdzie tylko ukazując małe piaszczyste łysiny.

Wyszedłem z milczącą i zapłakaną Violą w kierunku naszej willi. Wiele drzew było znów połamanych i tarasowało ścieżki. Nędzna trawa wypalona przez słońce wyrwana była gdzieś tam wielkimi kępami i przewrócona korzeniami do góry.

Odwrociłem się i zaraz krzyknąłem. Z krajobrazu północnego zniknął cienki, charakterystyczny kikut wieżyczki kościelnej.

Pokazałem to Violi. Jej wzrok stracił jednak piętno rozpacz i przerażenia.

Patrzyła z wyrazem poddania się losowi swymi ogromnymi oczami w tę dal, gdzie kiedyś nad linią horyzontu cienko obwiedzioną zielenią sterczała ta wieżyczka. Oczy jej były szklane.

Bałem się pomyśleć: martwe.

W willi zaczęła się natychmiast przygotowywać do drogi. Nie odważyłem się jej zatrzymać. Wiedziałem, że zamierza wyjechać do swego miasteczka.

Miała tam jeszcze parę osób z rodziny. Gorączkowo pakowała swoje łaszki. Mogła wyjechać od razu, nagle, prosząc Grivasa czy mnie o odwiezienie koleopterem, bez tych wszystkich kobiecych, komicznych przygotowań. Ale ona umyślnie - jak sądziłem - markuje cały rytuał pakowania, aby dać poznać, że to przemyślana decyzja, że to, co między nami dotąd było, w zaistniałej sytuacji straciło już sens.

Upał stawał się coraz większy, choć automat klimatyzacyjny pracował na dużych obrotach a okna chroniła przed nadmiarem promieniowania błękitnawa mgielka substancji pochłaniającej.

Wideofonem połączyłem się z Grivase. Wiedział, co się dzieje. Tak jakby został już uprzednio przez Violę zawiadomiony o jej decyzji.

- Polecimy koleopterem - powiedział - nie chcę wozem przejeżdżać przez wioskę.

Na razie szło to wszystko jakby z góry zaplanowane i dopóki kręciliśmy się po domu, gromadzili ciuchy i układali je w walizce nie odczuwałem żadnych sensacji, nie uświadamiałem sobie, że to rozstanie, nie odmieniałem na wszelkie możliwe sposoby - jak to zwykle w takich razach bywa - tych „nigdy”, „na zawsze”, „to już koniec”:

Przypomniało mi się tylko, jak dwukrotnie niosłem ją nieprzytomną z plaży. Mimo lekkości coraz dotkliwiej odczuwałem wtedy jej ciężar i, wstyd się przyznać, ledwo ją doniosłem.

Nie mogłem także zapomnieć jej niezwyklej delikatności i ustepliwości: miałem ją tych kilkadziesiąt dni obok siebie, niemalże bez przerwy, ale obecność jej nie budziła ani razu jakiegokolwiek sprzeciwu, niechęci, gniewu.

Pamiętam także jak Grivas wyjmował jej te gąsienice z rąk. Trzymała dłonie kurczowo zaciśnięte i z trudem udało mu się wysupłać te niezwykle ciężarki.

Nagle owładnęło mną przerażenie, nie dlatego, że ją tracę, ale że pozostanę tu sam. Grivasowi, zdałem sobie teraz z tego sprawę w całej pełni, od początku nie ufałem. Wydawał mi się nieszczerzy. No, powiedzmy skryty.

- To bzdura, te nasze urojenia, obłądna bzdura - powiedziałem. Podniosła głowę znad walizki, w której ciągle przemieszczała swoje łaszki.

- Dlaczego Grivas nie przyjeżdża? - zapytała.

Wyrzuciła wszystko z walizki i poskładała na nowo. Gdyby w tym momencie nie wszedł

byłaby pewnie została. Nie wiem czy na długo, ale zostałaby z pewnością.

- No, to jedźmy!- zawołał od progu.

Pochwyił jej bagaż. Byle prędzej, byle pośpieszyć.

Poczułem wściekłość. Wyrwałem mu tę walizkę. Viola delikatnie wsunęła się między nas i wybiegła na werandę, truchcikiem dopadła koleoptera dyszącego na zapalonym silniku.

Ledwo nadążyliśmy za nią. Zakryła swoim ciałem drabinkę, lekko rozkołysaną na wietrze.

- Wsiadaj - powiedziała do Grivasa. A gdy on w dwóch susach zniknął w kabinie objęła mnie, przytuliła się do mnie i odepchnęła.

Wspięła się zgrabnie do kabiny i machając mi dłonią na pożegnanie nie pozwoliła abym jej towarzyszył.

- Nie- krzyknęła- nie!

Koleopter pionowo wspinał się do góry. Usunąłem się przed uderzeniem słupa gorącego powietrza z dysz. Maszyna nabrała szybkości, położyła się całym swoim cygarowatym cielskiem poziomo, dziobem kierując się na północ. Blachy kompozytu, z którego wykonano kadłub lśniły w blasku pełnego słońca.

Wlokłem się powolutku do willi, choć było to bardzo blisko. Znowu poczułem na sobie magnetyczny wzrok z siłą, jakiej dotąd nigdy nie doznałem. Zażyłem dwie pastylki, aby zasnąć, aby przespać to upalne południe, i nie myśleć.

Zbudziło mnie szarpanie za ramię. Słońce zbliżało się już do morza coraz większe i coraz bardziej czerwone. Koło mnie stał stary Indianin z wioski, ten który mi tak dziwacznie zniknął podczas nocnego spotkania przy wraku samochodu.

Minęło dobrych parę chwil zanim otrząsnąłem się ze snu. Stał teraz nade mną bez słowa. Dopiero, gdy zobaczył że całkiem oprzytomniałem, chwycił mnie pod ramię i pociągnął na ganek.

Przed domem zebrała się cała grupka jego rodaków. Mimo upału byli pozapinani na ostatni guzik w swoich odświętnych, ciemnogrnatowych garniturach.

Stary odezwał się uroczyście,

- Szanujemy cię kosmonauto za to, żeś był tam - wskazał na niebo - szanujemy ciebie bardzo mocno, ale nie chcemy, żebyś na nasze karki sprowadzał swoich bossów. Nie chcemy, żeby oni nas wypytywali o te małe gąsienice i o to charczenie w twojej i w naszej mowie. Tego nie chcemy, a więc wyjedź stąd, wyjedź natychmiast. Chcemy być pozostawieni w spokoju. Tu są groby naszych pradziadów, dziadów, i ojców. Rozumiesz?

- Czego ode mnie chcecie - wzruszyłem ramionami - nic do was nie mam.

- Chcemy żebyś wyjechał.

Chcieli się mnie pozbyć, ale równocześnie słyszałem chrapliwy skrzek tej naszej wspólnej, wszczepionej nam drugiej mowy.

- Nigdzie nie wyjadę - powiedziałem.

- Pamiętaj, jak twój tu przyjadą, jak przyjadą do doktora Grivasa, wyprzemy się wszystkiego, wszystkiego. Niczego się od nas nie dowiedzą.

- Idźcie do diabła! - zawołałem. - No, idźcie już sobie.

Ociągając się odeszli sprzed ganku. Długo obserwowałem, jak kroczyli jeden za drugim dostojnie pośród zarośli nie odzywając się do siebie.

Z Griyasem unikałem kontaktu, a i on w ciągu następnych dni, jednakowych jak promienie pełnego słońca, nie pokazywał mi się na oczy. Nie chciałem się z nim spotykać przede wszystkim dlatego, żeby nie pytać go o Violę. Wyrzucałem ją ze swojej pamięci. Starłem się przypominać sobie ciągle jej twarz i twarz ta ani razu nie zjawiała mi się w swej prawdziwej, wspaniałej krasie. Tylko jakaś zdeformowana, wykrzywiona. Viola stawała się pod wpływem tego uporczywego przywoływania na pamięć inna, coraz bardziej obca.

Na plaży szukałem gąsienic.

Rozgrzebywałem piach głęboko, tak głęboko jak tylko potrafiłem, i nie znalazłem ani jednej. Jednakże poczucie, że jestem nieustannie śledzony ani na chwilę już teraz mnie nie opuszczało.

Ciekaw byłem, kto z nas wszystkich wmieszanych w tę historię pierwszy złoży raport naszym władzom. Przecież to, czego tu doświadczyliśmy, to, co wdążyło się w nasze wnętrza, a nawet we wnętrza tych prymitywnych ludzi z wioski, mogło się okazać rewelacją na skalę światową.

- Kto wie - myślałem - czy świat nasz nie będzie się musiał bronić przed magnetycznym naporem ginącej lub rodzącej się cywilizacji?

W tym morzu, zbombardowanym meteorytami i burzami o niezwykłej sile, pełnym podziemnych wulkanów, mogli zagnieździć się przybysze z innych planet, lub mogła szlifować się przez wieki jakaś nowa, ziemską cywilizacja, teraz dopiero szukająca możliwości opanowania naszej planety.

Istnienie ludzi posługujących się w wiosce indiańskiej, obok romańskiego, chropowatym,



nieziemskim językiem zdawało się świadczyć o wyprzedzeniu przez tę domniemaną cywilizację mego przybycia nad zatokę. Może to zresztą była bardzo stara historia, która dopiero teraz dojrzała?

- Mrzonki - mówiłem sobie.

Dreńczyło mnie to, że dotąd nie doniosłem jeszcze o tych sprawach swoim przełożonym. Czemu jednak nie zrobił tego dotąd Grivas ani Viola, czemu odzegnawali się od powiedzenia tej części prawdy jaką poznali wszyscy nad zatoką - nawet Indianie z okolicznej wioski? Kto wie, czy oni nie wiedzieli najwięcej?

Opowiadał mi kiedyś Grivas, gdy byliśmy u niego z Violą, że jeszcze na długo przed rozbłyskiem meteorytu wpadającego do morza, kilka lat wcześniej, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża rozbił się tankowiec i cieknąca z niego ropa dotarła do zatoki. Przybyły potem ekipy statków ratowniczych, ale minęły długie miesiące zanim morze straciło wielkie tłuste czarne plamy a piasek odzyskał swą biel.

Grivas opowiadał to mimochodem. Absolutnie, nawet w aluzjach, nie łączył tego wypadku z tym, czego doświadczyliśmy tutaj w ostatnich tygodniach. Aie i to mogło być dla nowej, względnie ukrytej w morzu obcej cywilizacji jakimś bodźcem lub jakąś pożywką. Te potworne masy ropy, które wylały się z tankowca...

Zastanawiałem się jak długo wstrzymam się przed złożeniem raportu. Chciałem to ciągle zrobić lecz charczący język trzymał mnie jak gdyby za gardło, paraliżował wolę.

Po tygodniu dopiero usłyszałem znajomy warkot koleoptera. Oprócz Grivasa, który miał twarz okropnie skrzywioną i przygnębioną dojrzałem trzy znane od dawna osoby.

Moi szefowie.

- Wiemy o wszystkim - powiedział pułkownik Jan Kolecek z Międzynarodowej Służby Kosmonautycznej - wiemy już. Potępiamy twoje milczenie.

W tym momencie wylądował drugi koleopter, wysypali się z niego funkcjonariusze służby kosmonautycznej. Cały sztab rozmieścił się w willi i w stacji badań, który ciągnął i mnie dano oddzielne pomieszczenia i postawiono straż pod oknami i drzwiami.

Widziałem jak nazajutrz, z aparatami podobnymi do identyfikatorów min, szli przetrząsać plażę ludzie w obcisłych, białych kombinezonach z maskami na twarzach, dojrzałem też grupę pływaczy wyposażonych w szpiczaste podwodne łódki do penetrowania głębin morskich, zwane popularnie w naszym środowisku „posejdonkami”.

Z trudem przemogłem się i usiłowałem, zaciskając zęby, opowiedzieć o wszystkim czego tutaj doświadczyłem. Gdy zawahałem się z wciągnięciem do swej opowieści Violi, pułkownik Kolecek klepnął mnie po przyjacielsku w ramię i powiedział siląc się na poufale współczucie:

- Ona nie żyje.

Zerwałem się, omal nie przewróciłem stołu, przy którym siedzieliśmy. Pociemniało mi w oczach. Usiadłem, osunąłem się raczej na fotel, zaciskając do bólu oczy.

Gdy je otworzyłem Kolecek siedział nieruchomo wpatrzony we mnie: nie wiedział jak się zachować.

- Pamiętasz - powiedziałem - co ci wyznałem przed swoim pierwszym lotem kosmicznym, kiedy nie byłeś jeszcze szefem tylko bardziej doświadczonego ode mnie kolegą, pamiętasz to?

- Nie gniewaj się. Nic nie pamiętam. Nic.

- Największym moim marzeniem było wtedy spotkać przed tobą, przed innymi kolegami inną, mądrą cywilizację, mądrzejszą od ludzkiej. Cały nasz program był przecież nastawiony wówczas głównie na tę sprawę, na te badania. Teraz zaś, kiedy udało mi się naprawdę pierwszemu poczuć jak gdyby oddech takiej cywilizacji, kiedy łapie ona za gardło...

Nie dokończyłem. Nie wiedziałem właściwie, co mu chciałem powiedzieć. Ale chyba nie tylko o tym, że w takich okolicznościach w jakich się znalazłem, cała radość z odkrycia, na które ludzkość tak bardzo czekała, wywietrzała kompletnie.

- Nie wiadomo czy chodzi tu o cywilizację. Ten nasz astropsycholog, profesor Wiśniewski, uważa, że ulegliście zbiorowej psychozie, że ty albo... albo ona byliście motorami... tej psychozy.

- W jaki sposób umarła?- przerwałem mu.

- Nie wiem, nie wiem. To się dopiero bada. Nie, nikt jej nie zabił. Absolutnie nie.

- Kto wam o nas powiedział, no, zdradź to wreszcie, kto wam doniósł?

- Opanuj się.

- Wywieźcie mnie stąd. Już dłużej nie mogę! - krzyknąłem.

Czułem nagle na sobie ten magnetyczny wzrok przychodzący z nad morza. Widziałem przez okno to morze błękitne, teraz spokojnie liżące piasek. A na piasku tłumek ludzki szukający śladów domniemanej cywilizacji. Wydało mi się to równie obrzydliwe co komiczny.

- Chcę wyjechać.

Jeszcze w tym samym dniu przetransportowano mnie i Grivasa do naszej wielkiej bazy na szerokim płaskowyżu między szczytami górskimi. Z przyjemnością wdychałem pachnące żywicą

powietrze, jakże ostre, jakże cudownie chłodne, orzeźwiające.

Wzrok, który się we mnie wpatrywał, osłabł. Może go teraz już w ogóle nie było. Bałem się o tym myśleć, ale czułem odrobinę ulgi.

Traktowano mnie nie jak więźnia, dezertera czy zdrajcę, lecz jak kolegę, któremu w pewnym momencie zabrakło odwagi - z lekkim dystansem, kryjącym brak zaufania i ze współczuciem.

Psychologowie i psychiatrzy uparcie twierdzili, że tam nad morzem, na skutek wielu sprzyjających okoliczności popadłem wraz z Grivasem i Violą w obłęd, zaraziliśmy tym obłędem prostych wieśniaków, bardzo już nerwowo przeczulonych, a więc predysponowanych do zbiorowej hysterii.

- Toż to jasne - mówił profesor Wiśniewski, kiwając swoją wielką białą czupryną i równie białą szeroką brodą - oni musieli się wycofać z rybactwa po awarii tankowca i skażeniu morza ropą. Musieli więc zaprzeczyć swojej wieloletniej a może ponad tysiącletniej tradycji zawodowej, zerwać z nią. Potem przyszedł meteoryt, nasilenie gwałtownych burz i wreszcie po tym wszystkim przyjechał sławny kosmonauta, który niczego innego od wielu lat nie robi, tylko szuka innych, obcych nam cywilizacji. No i znalazł jedną. W swoim umyśle. No, i przeszczepił tę wiarę innym. No, i tak się stało, koledzy.

Profesor Wiśniewski - jak mi powiedziano - był w wyraźnej opozycji w stosunku do większości badaczy, ludzi, których dobrze znam i którym zawsze mocno ufałem. To oni mnie uczyli kosmonautyki, to oni podczas zaziemskich podróży dawali mi instrukcje, często ratując nam, kosmonautom, zagrożone życie.

Wiązali całe wydarzenie z naszą podróżą nad Saturna.

Jowisz - gigantyczny sąsiad tej wielkiej planety powoli, ale systematycznie kradnie rozpalone gazy słońcu, emitując równocześnie ogromne dawki swej własnej wewnętrznej energii.

Wkrótce, to znaczy na przestrzeni wielu milionów lat.

- Ukochany z księżycą ma szansę stać się bliźniaczym, drugim słońcem naszego układu. Już przed pół wiekiem poczęto na podstawie wstępnych kosmonautycznych rekonesansów wysuwać tę śmiałą hipotezę, która obecnie coraz bardziej się potwierdza. Temperatura powierzchni Jowisza stale rośnie, zmienia się jego precesja, inaczej niż dotąd orbituje wokół Słońca. Znosi się na wielkie astronomiczne wydarzenie w naszym układzie, a to katastrofa dla Saturna. Kolecek: „- Nad Saturnem poczuliście to straszliwe ssanie, jakby ta planeta chciała was

wchłonąć i od tego zaczęły się wasze dramatyczne przeżycia. Prawda?"

Do diabła z tym wszystkim, do diabła. Słuchałem go piąte przez dziesiąte. Co za ironia losu, ja- który kiedyś marzyłem o spotkaniu z innymi cywilizacjami. Być może mieszkańcy Saturna, chcąc uciec ze swojej zagrożonej planety (bo Jowisz gdy stanie się w pełni bliźniakiem słonecznym popali na niej wszystko co żywe), wybrali sobie jako odskocznię cywilizację ziemską.

- A te gąsienice? - zapytałem Kolecka.

- Bada się je. Nie wyglądają na żywe istoty. Mogą być rodzajem pośredników, przekaźników sensu tamtej cywilizacji, urządzeniami magnetycznymi, czy ja wiem zresztą. Kto wie, czy to nie próba opanowania człowieka od wewnątrz. Przetrwania w ciele człowieka.

- Przetrwac? - Zdawało mi się, że patrzę na siebie, na Kolecka i na tych profesorów, rozgorączkowanych dyskusją także o tym co ja przeżywałem - z ogromnego dystansu, z dystansu innej planety.

Czy istnieje lepsze siedlisko do przetrwania w tym wszechświecie niż człowiek, jakże chytry, odporny, elastyczny? Tylko Viola była za słaba, inna od nas, nie przystosowana.

Powiedziano mi, że została znaleziona w domu na rozścielonym łóżku - skulona, jakby chroniła ciało przed zimnem. Prawdopodobnie zażyła zbyt dużo pigułek uspokajających i nasennych.

Przetrwac - to było jedyne przetłumaczalne słowo obydwu, jakże, odległych języków. Kolecek wykrzykiwał je gwałtownie gestykulując, ale ja znowu słyszałem jego charkot, słyszałem skrzek tego języka, który w sobie odkryłem tam nad zatoką, którym mówili Viola i Grivas i ci ludzie z indiańskiej wioski.

Z ust dyskutujących uczonych wokół mnie wydobywały się chrapliwe, ostre skrzeki.

Przetrwac? - zacząłem się śmiać, śmiać do rozpuku i tak śmiejąc się aż zatykało gardło wyszedłem z pełnej salki nie zatrzymywany przez nikogo. Zacząłem biec. Śmiałem się i biegłem ale nikt mnie nie gonił.

## **PUNKT**

- Samobójstwo tej znanej aktorki - powiedziałem mu - przesłoniło ostatnio drastyczniejszy i znacznie, znacznie bliższy wypadek. Czy pan się interesuje sportem?

Ożywił się trochę. Dotychczas rozmowa się nam nie kleiła. Zresztą słońce mocno przygrzewało. Woda tuż pod nogami lekko marszczyła swą błyszczącą zieleń.

Nie chce się nic robić w taką pogodę.

- Kiedyś bardzo interesowałem się sportem - odparł. - Każde zawody lekkoatletyczne to była uczta, prawdziwa uczta.

Ten styl z codziennej gazety. Przy tym rozwierał szeroko wypukłe oczy za okularami. Nosił okulary na cienkich drucikach, które nie były w stanie zmniejszyć ani na jotę jego wielkiej, pucołowatej twarzy.

- Interesowałem się sportem. Ale teraz już mam co innego na głowie. Spuściłem stopę do wody.

- To o śmierci Karmana pan wie?

- Zabił się?

Udałem, że nie słyszę. Wpatrzyłem się w niebo, jakby stamtąd dochodził jakiś silniejszy głos.

- Zabił się, faktycznie? No, mówże człowieku.

- Zginął człowiek. Nie wystarczy? Przyjaźniłem się z nim.

Za wszelką cenę chciałem się wygadać. Na tym odludziu, dokąd przyjechałem specjalnie, ten facet miał się stać moim jedynym spowiednikiem, już przeszedł mi pierwszy wstrząs po śmierci Karmana. Teraz dopiero poczułem, że muszę to wszystko opisać.

- Tyle razy go widziałem. Widywałem go - mruczał mój rozmówca, wyraźnie poruszony.

Nareszcie - pomyślałem - nareszcie zrzucę z siebie cały ciężar.

- To dobrze, że go pan znał, bardzo dobrze - mówiłem. - Wie pan, on już ostatnio nie startował.

- Tak, nie startował.

- A czy wie pan także, dlaczego?

Nie odpowiedział. Nie krył swego zainteresowania napiętego do ostatnich granic wytrzymałości nerwowej. Oczy miał całkiem wybałuszone. Zdawało się, że źrenice dotykają szkła.

- Poznałem go w tym okresie - mówiłem - kiedy już nie startował. Gdy zerwał ze sportem. Nigdzie nie potrafił dłużej zagrzać miejsca i dlatego nie bardzo miał z czego żyć. Właściwie niczego nie umiał. Od tego się zaczęła jego dziwna kariera.

Słyszał pan o niej? Kiedyś Karman, gdy znowu przyszedł ostatni w stawce na dziesiątkę, poszedł sobie do baru. On, który nigdy tam nie bywał. Tylko wtedy, jeden raz tam zaszedł.

Odprowadzały go ironiczne uśmiechy. Zawsze był ostatni. Powinien się był do tego przyzwyczać

i nie potrafił. „Idzie ten jeden punkt” - mówili o nim na stadionie. Jeden punkt, albo zwyczajnie: „Punkt”. To przezwisko do niego przyłgnęło. Zawsze biegał po ten jeden jedyny punkt. Bez żadnej nadziei na wygraną.

- Tak, pamiętam, przychodził ostatni - mruknął.

- Był najlepszy z najgorszych. Nie ma co mówić. Jak do reprezentacji potrzeba było faceta, który pobiegnie po jeden jedyny punkt, wystawiano Karmana. Niechętnie, z zastrzeżeniami, po burzliwych dyskusjach. A jednak wystawiano. Miał nie najgorszy styl. Krok miękkie, długi, elastyczny. Brakowało mu końcówki.

Nie miał widocznie talentu. Nauczył się trochę techniki, trochę taktyki. Tyle się przecież nabiegał. Więc się czegoś musiał nauczyć. Sam mi to opowiadał, i to była na pewno prawda. Ta, którą czuł on i widzieli wszyscy. Przynajmniej większość. Myślę, że w ogóle nie powinien był biegać. Nie wiem do dziś, po co się pchał na stadiony. A był piekielnie ambitny.

- Niektórzy to tak nazywają- przerwał mi.

- A jak to nazwać? Chciał się wybić i nie mógł. Po tym kolejnym meczu, wśród gwizdów, wszedł po raz pierwszy do małego baru obok stadionu. A bar był otwarty dla szerokiej publiczności, nie dla zawodników. Świetne miejsce do spotkań kibiców z mistrzami. Tam właśnie rozdawano autografy.

- Barmanowi mówiło się: „panie Józefie, dwie duże lemoniady”. Inaczej nie dał. I piło się wodę z mistrzem. Znałem to miejsce. Dobrze znałem.

- Proszę, znał pan? Do mistrzów trudno się było dopchać. Tylko Karman stał samotny przy końcu kontuaru.

- Tak, sam. Z tą chudą twarzą. A te jego ramiona. Niektórzy biegacze mają śmiesznie, nieproporcjonalnie śmiesznie mało rozwinięte górne części tułowia w stosunku do ud, do podudzi.

- Tak, on miał szczególnie spiczaste ramionka.

- Szczególnie spiczaste.

- Wtedy podszedł do niego ten jego uczonec: Karman go inaczej nie określał, jak Profesor. Nie chciał mi tego gościa nigdy dokładnie opisać. W ogóle niechętnie o nim mówił.

Więc Profesor podszedł i zaproponował: „Panie Karman, jednego dla kurażu. Dobrze?” Zdzisiek się zachnął. Chciał samotnie, przy oranzadzie, strawić kolejną porażkę. Swoje kolejne poniżenie. Może też chciał pozazdrościć innym radości z wygranej? „Odczep się pan” - powiedział.

„Dwie duże, panie Józefie” - gość jakby nie dosłyszał odmowy.

Stały migiem dwa brązowe koniaki. Jeden przed Zdziśkiem, drugi przed tamtym. „No, niech się pan napije” - powiedział gość. „To czasem dobrze robi, znam się na tym”.

Karman udał, że nie słyszy. Tamten wypił swoje. Zamówił następne. Przed Zdziśkiem stały już dwa kielichy. „Odwal się pan, coś się pan do mnie przyczepił”. „Proszę się nie denerwować - odpowiedział ten Profesor łagodnie. - Chcę zrobić z pana mistrza”. Zdzisiek gwałtownie się odwrócił. Łokciem przewrócił jeden kieliszek. „O, nieładnie, panie Karman” - odezwał się barman Józef - nieładnie się tak zachowywać, jak częstują”. Wtedy Zdzisiek pochwycił drugi kieliszek. Chwilę wahał się, co z nim zrobić, i wypił. Potem następną kolejkę.

„Dlaczego pan właściwie biega?” - zapytał Profesor. „Przegrywa pan ale biega”. „A czy ja potrafię robić co innego? Nic nie umiem. Nic”. „Jakiś zawód pan chyba ma”. „Tak, byłem ślusarzem. Ślusarzem, tylko że podłym. Jak się przez kilka lat nie stoi dzień w dzień przy nowoczesnej obrabiarce, to się przecież wychodzi z wprawy, nie? A potem jest za późno, by zaczynać od nowa, nie?”. „No dobrze” - powiedział Profesor - „no dobrze. Zrobię z pana mistrza”. „A kimże pan jesteś, do diabła, wujcio - milioner, impresario? Do Ameryki chcesz mnie pan skaperować, czy jak? Z czym do gościa? I to do kogo, pytam? Idź pan lepiej do Chmielińskiego, lubi forszę i zawsze wygrywa. Nie raz miał już poniżej dwudziestu dziewięciu na dystansie”. „Obserwuję pana od dawna - odparł profesor. Od bardzo dawna. Odkąd biegasz, chłopie. Potrzebny mi jest taki facet jak ty. Beztalencie. Zawiedziony. W beznadziejnej sytuacji, ale z ambicjami. Z takiego zrobię mistrza. Taki mi jest potrzebny: każdy musi po coś żyć”. „Pijany pan jesteś” - zawołał Zdzisiek. Miał zdaje się wielką ochotę dać tamtemu w ucho i uciec.

A że nigdy nikomu nie umiał dać w ucho - powtórzył tylko ze złością: „Pijany pan jesteś”. „Nie pijany, tylko uczony. Naprawdę mogę z pana zrobić mistrza. Chce pan spróbować? Żadnych warunków, żadnego ryzyka. Dziś nikt nie chce sprzedawać duszy diabłu. Więc bez ryzyka, co?” Karmanowi wydało się, że rozmawia z wariatem.

- Dlaczego z wariatem? - rozzłościł się niespodziewanie mój rozmówca. - To on, Karman, był wariatem, że zgodził się na jakieś eksperymenty. A nie tamten.

- Karman? Przecież nie miał innego wyjścia z sytuacji. Nic nie ryzykował. Tak mu się zdawało, że nie ryzykuje. Ale to było ryzyko. Tamten mu zaproponował wynaleziony przez siebie preparat. Właściwie chodziło o całą kurację.

- I Karman skwapliwie na nią przystał. Prawda?

- Dał się nabrać.

- Przecież zwyciężał. Widziałem, jak zwyciężał.

- Tak, ale przez to się wykończył. Zresztą, czy ja wiem?

Przerwałem. Mego rozmówcę ogromnie pasjonowała ta historia. Widziałem, że czeka na dalszy ciąg z niecierpliwością, że stopą uderza w wodę coraz szybciej. Wyrzucałem sobie, że mu tyle opowiadam. Czy jednak byłem tak kompletnie, kompletnie bez winy?

- Ta kuracja była długa i paskudna - powiedziałem.

- Po co się temu poddał, kto mu kazał? Po co się taki bałwan pcha tam, gdzie nie wytrzyma?

- zawołał mój rozmówca.

Nad nami gromadziło się coraz więcej skłębionych chmur, a woda pociemniała, chociaż wciąż była ciepła. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że tworzy się właściwe tło dla naszej rozmowy. Im bardziej zagłębiałem się w tamten stary koszmar, tym więcej cieszyło mnie życie.

- Po co się pchał? Nie znał go pan tak, jak ja. Ambicja i chyba coś jeszcze - dodałem.

- Właśnie, co jeszcze? - No, niech pan jedzie dalej.

- Opowiadał mi, że ten Profesor położył go na stół operacyjny. Podobno niezwykle stół.

Jakieś łoże tortur. Najpierw włożył mu na głowę rodzaj hełmu z całą siatką rurek i przewodów. Od spodu hełmu, tam gdzie powinna być podszewka, sterczały ostre zakończenia przewodów, które w miarę wciskania hełmu na głowę wbijały się pod skórę. Już samo to musiało boleć. Ale to jeszcze nic, wobec wewnętrznego bólu, który nadchodził potem.

„Musisz się przyzwyczaić do bólu” - mówił mu profesor. Potem przywykniesz. Zresztą później nie boli”. Zdech zaciskał zęby (jak ja to prymitywnie wyrażam) i tak jak na meczu - bez względu na ból mięśni, kolki i bicie serca odmierzał swoje dystanse, żeby zarobić choć jeden punkt dla drużyny - tak i tu też cierpiał i czasem trochę pojękiwał. Profesora to bardzo denerwowało.

- Widzi pan: to wcale nie był taki słaby charakter, jeśli potrafił tak cierpieć- przerwał znowu mój rozmówca.

- Bo ja wiem? Raz słaby, raz silny. Od czego to zależało - nie wiem. Pełen niespodzianek. Właśnie najgorsze były u niego te niespodzianki. Ale wówczas cierpiał dla kariery. Uwierzył temu uczonemu. Powiedział sobie: „spróbuję”, i wytrwał. EPOS - elektronowy przyspieszacz organizmu sportowca - tak Profesor nazywał swój mechanizm. Przyspieszacz nie działał od razu. Codziennie trzeba było to powtarzać. Bolało sakramencko - jak mawiał Zdzisiek - ale w końcu naprawdę zapomniało się o bólu. Do tego wszystkiego dochodziły jeszcze różne preparaty przyspieszające



reakcje psychiczne i fizyczne. No i zastrzyki wzmagające kurczliwość i rozkurczliwość mięśni. Trwało tak parę tygodni. Uderzenie w mózg, preparaty i zastrzyki. Zastrzyki, preparaty, uderzenie w mózg. Potem zaczęła się zaprawa. Właściwa zaprawa w niewielkim ogrodzie na tyłach willi uczonego. Człowiek potraktowany tą końską kuracją nabierał w razie potrzeby ruchów niezwykle szybkich. A serce biło mu tak - opowiadał mi to - że bicie zlewało się w jeden cieniutki, ostry ton. Czuło się je tak jakby jedna piszcząca struna grała w piersi, bez żadnych zresztą doraźnych ujemnych skutków. Płuca też pracowały błyskawicznie. Mózg także. To pod jego rozkazami nogi i ręce poruszały się jak wiatraki w czasie huraganu. Gdy się biegało, świat - tak mi opowiadał Zdzich - zamazywał się. Ale do prawdziwego biegania było początkowo daleko. Najpierw robiło się różne inne ćwiczenia.

Czy mi pan uwierzy, że ten chłopak przeczytał w tym okresie mnóstwo książek? Podkształcił się, nabrał ogłady. Mówił inaczej niż poprzednio. Ach, cóż to wiedza potrafi zrobić z człowieka... Od tego czasu sam zacząłem wierzyć, że wszystkiego można się wyuczyć. Może przesadzam, może on przesadzał...

- Czemu nie? Można się nauczyć - powiedział mój rozmówca, jakby sam siebie chciał także w tym upewnić. Każdej rzeczy człowiek może się nauczyć. Tylko, czy to zmienia człowieka od środka? - dodał prędko.

- Właśnie, czy zmienia?

Akurat zestawiono drużynę na mecz z Anglikami. Stawka była piekielnie silna. Miał startować były mistrz Europy. Z nim aktualny wicemistrz, no i nasi dwaj. Trener naszej drużyny po naradzie z kapitanem powiedział: „Karman będzie w sam raz. Orzeł to on nie jest, ale jedno pewne - nie spuchnie. A choćby i spuchł, dolezie na czworakach”. „Karman choruje” - odparł ówczesny nasz mistrz na długich dystansach - Chmieliński. Nie lubił Zdzicha. Właśnie za tę jego mechaniczną wytrzymałość. W ogóle zresztą pogardzał słabszymi.

„To kogo mi proponujesz? Barlewicz po kontuzji. Ciuncioch dobry ale młody, brak mu doświadczenia. No?” „Karman choruje. Może nawalić. Już mu się to zdarzało” - Chmieliński nie dawał za wygraną. „To rzadkość” - bronił trener. - „Raz czy dwa nawalił i to na mało ważnych meczach. A tu się liczy każdy punkt. Każdy”, I nagle pytanie: „A ty, Chmielu, dasz radę?”. Chłop zmieszał się. „No, widzisz. O sobie ty myśl, nie o tamtym. Tamten biegnie tylko po jeden punkt”.

No i trener wybrał się do Zdzicha. Oczywiście nic nie wiedział o eksperymentach. Kuracja trwała już dość długo (właśnie dobiegała końca) ale jeszcze nie była zakończona. Profesor

odradzał na razie wszelkie starty. Karman szalał, chciał wypróbować.

- Nie dziwię się.

- Jasne. Ja też. Zanim zająłem się tą swoją nędzną dziennikarką także próbowałem biegać, ale na średnich - bez sukcesu. Na jego miejscu rwałbym się. Tyle się przemęczył, tyle przeszedł, a teraz miał wielką okazję. Clou sezonu: najważniejszy mecz, najważniejszy, najsilniej obsadzony dystans. No, i ten Profesor pozwolił.

Na obóz nie było już czasu. Wszyscy chłopcy byli na obozie od tygodni czy nawet dłużej. Biegali po lasach i po szosie w miejscowości podgórskiej, I żaden z nich nawet tej pięknej okolicy dobrze nie widział. Biegali tylko i biegali. Karman wyładował tam w przedostatnich dniach. Lekarz go zbadał. Pokiwał głową. „Serce masz bracie niezłe”, - powiedział i dodał „może to w tobie najsilniejsze”. Zdzisiek uśmiechnął się. Wciąż go trawiła taka gorączka, że niewiele słyszał i niewiele dostrzegał. Tylko kawałki poszczególnych scen utkwiły mu w chorej pamięci.

„Wiedziałem, co mam zrobić” - mówił mi potem, gdy go już poznałem i gdy się zaprzyjaźniliśmy. „O dokończeniu tej kuracji nie było mowy. Z obozu by mnie na krok nie wypuścili. Mogli zresztą coś podejrzewać”. „Drżałem” - mówił mi - „przed podejrzeniami” Żeby się to wszystko nie wydało. Udawałem, że trenuję. Ale zaraz schodziłem z bieżni, niby że mnie kolka chwyta, że jeszcze się nie rozkręciłem. Nawet trener, choć początkowo był uradowany moją obecnością, zaczął myśleć z tego powodu o wycofaniu, tylko, że było za późno. Klamka zapadła.

Dla mnie i dla nich”.

Nie lubił wspominać tego pierwszego meczu.

- Czemu? Przecież się udało.

- Udało się? ! o tym pan coś wie? Proszę poczekać.

Gdy już ich przywieziono na rozpalonych ludzkich namiętności stadion, gdy się okazało, że tylko dziesiątka może zadecydować o ogólnym wyniku, Zdzisiek niema! zupełnie stracił głowę. Chodził, witał się ze znajomymi, wysłuchiwał i kpin i rad, ale nie miał pojęcia, kto do niego gada.

Trener wziął go na bok. Właśnie zaczęto ustawiać start i była mała przerwa. Stadion czekał nieruchomy i cichy, jakby chodziło o losy całego świata. Nadchodził wieczór. Trener wziął go na bok razem z Chmielińskim.

Powiedział: „Żadnego ryzyka, chłopcy, nie stać nas na żadne ryzyko. O dublecie ani marzyć. Ty Karman, od startu do mety po jeden punkt. Powoli, spokojnie. Idziesz równym krokiem od początku do końca. Stul uszy. Niech cię nic nie obchodzi. Stul uszy, pamiętaj. Nie

forsuj, nie gnaj. Jak zawsze, nie masz szansy. Najmniejszej szansy. Po jeden lecisz. Wytrzymaj, choćbyś na czworakach miał dojść". Zdzisiek skinął głową. Pan znał ten ruch? On wtułał tę swoją chudą gębę między śmieszne ramionka.

„A ty" - trener zwrócił się do Chmielińskiego - „rób wszystko, żeby choć przedzielić Anglików. Tego tylko żądam od ciebie. Wtedy przegrana byłaby mała, chyba żebyś... Nie, nie - sam zmitygowałem swe zapędy - nie, nie, ty nie masz końcówki, Chmieliński. Nie masz i koniec. Musiałbyś mieć kogoś na dystansie, żeby z tobą podciągnął całą stawkę, żeby forsował tempo. No, ale Karman nie potrafi". „Może Zdzich spróbuje" - wtrącił Chmieliński, z lekką pogardą patrząc na kolegę. „Z wyzywającą pogardą" - jak mówił mi Karman. „Nie - powiedział szybko trener - wykluczone. Ten jeden punkt też jest ważny, jeszcze jak ważny! Idź, Karman, równo do końca. Jeśli Chmieliński przedzieli Anglików (a dalibóg może przedzielić), zarobimy razem cztery punkty. Porażka nie będzie dotkliwa i honor uratowany. Słuchaj, Chmieliński, jak spuchniesz, to będziesz musiał zejść z bieżni, i co wtedy? Kompromitacja. Daj spokój. Chyba, żeby ci w ostatniej chwili wyszło. Ale ja nie radzę. Zabraniam" - dodał błyskawicznie.

Karman wtedy trochę oprzytomniał, i po raz pierwszy, choć nie miał jeszcze do tego żadnego prawa, z ironią spojrzął na swego trenera. „Dotychczas nie wiedziałem, że to taki maleńki facet, taki treser cyrkowy. Wtedy dopiero poznałem". Tak mi potem opowiadał.

Gdy tamten odszedł, Chmieliński przyjacielsko poklepał Zdziśka po łopatkę i szepnął mu: „Nie słuchaj starego. Czuję wielką parę w nogach. Wygram. Tylko podciągnij tempo na pierwszych trzech tysiącach. Ciągnij, ile dasz rady. No, zrobisz?" Dla Karmana była to woda na młyn.

Profesor zabronił mu od razu wyskakiwać. Kazał forsować tempo, żeby cała zabawa wyglądała naturalnie. Dopiero na finiszu Zdzisiek miał niby to z trudem odbić się od reszty i runąć na taśmę. Ostatnie pięćdziesiąt metrów - to miała być jego rola. Więc nic nie odpowiedział. Skinął Chmielińskiemu głową. Ten go jeszcze raz klepnął. Nigdy dawniej tego nie robił i Zdziśkowi zrobiło się przyjemnie.

Jeszcze nie wygrał, a już poczuł się ważny, i miał prawo sądzić, że uda mu się pozostać na zawsze ważnym. Ciekawe jak by biegł, gdyby te tricki uczonego okazały się tylko lipą, grą psychologiczną?

- Skąd pan wie? Może trochę były. Może pomogły talentowi?

- On przecież nie miał za grosz talentu. Przysięgam panu. Znam się na biegach. Sam

startowałem do niedawna, i dlatego jestem sprawozdawcą sportowym, bo tam nie miałem szczęścia. W ogóle nie szczęści mi się. Jak Zdziśkowi. Zresztą pan pewnie wie, co on zrobił. Pan musi wiedzieć, co ten wariat zrobił.

- Nie byłem na tym meczu. Tylko trochę o nim słyszałem i czytałem.

- Ach, nie był pan. Żałuj, człowieku!

Ruszyli razem pełną stawką. Zaraz na pierwszych metrach Chmieliński przyśpieszył i przechodząc koło Karmana rzucił mu ostrym szeptem: „Forsuj, forsuj tempo”.

Zdzicha aż poderwało. Minął obu Anglików, miał jeszcze czas uchwycić ich zdziwione spojrzenia, wyskoczył przed Chmielińskiego. „Dobrze - syknął ten - dawaj dalej”. Więc Karman szedł coraz prędzej, a za nim Chmieliński jak na sznurku.

Obaj Anglicy pracowali spokojnie. Długi krok, delikatne wymachy ramion, miękkość, elastyczność. Mówili potem, że przy swej kondycji i tegorocznych wynikach przegraną z Polakami uważali za bzdurę. Drugi, ten aktualny wicemistrz Europy, bał się odrobinę Chmielińskiego i starał się go pilnować. Ale Karmana poniosło. Natychmiast zapomniał o przestrożach uczonego i rozkazach trenera. Gdy samotnie, odbiwszy się o dobrych kilkaset metrów, przebiegał koło trybuny, pod którą stał trener

- ten ryknął: „Idioto, zarżniesz siebie, zarżniesz jego...” Dalej nie słyszał. To było jak ostroga. Przyśpieszył.

Stadion początkowo ostro gwizdzący (wszyscy bali się już kompletnej klęski) - zamarł. Później nawet zerwały się tu i tam małe brawa. Takie pęki niespodziewanych kwiatów dla biegacza. Dla fuksa. Tak to nazwał Zdzisiek.

- Pęta, poniosło go - przerwał ze złością mój partner.

- Zawsze go ponosiło. Pęta? A pana by nie poniosło w takiej sytuacji i w takiej chwili?

Odwet za tyle lat klęski.

Gnał coraz prędzej. Czuł jak wyjący stadion z tysiącami ludzi zamazuje się od szybkości. Zdublował najpierw Anglików, potem Chmielińskiego. Tamten siny z wściekłości, zmordowany takim tempem, jakiego się nigdy nie spodziewał, nie miał już siły nic krzyknąć. Tylko swoją okropnie wykrzywioną twarz zwrócił ku rywalowi. Jakby ten mógł go zobaczyć. Ale Zdzisiek nic już nie widział.

Nie czuł nawet dobrze wycelowanego plunięcia trenera. Machinalnie otarł sobie policzek błyskawicznym, przyśpieszonym gestem.

A widownia wyła. Miała wreszcie żer. Przy drugim dublowaniu ludzie zerwali się z miejsc. Wie pan: wrzaski i śpiewy. Sędziowie powskakiwali na stołki, krzesła, co kto miał pod ręką.

Zdzisiek był ponad tą burzą. Biegł coraz szybciej. Mówił mi, że szybkość zdusiła w nim wtedy wszystkie uczucia. Oprócz jednego: wdzięczności dla Profesora, dla jego nauki. Struna w piersi grała coraz ostrzejszą, triumfalną melodię, mózg był czysty i jasny. Wydawał rozkazy, które rodziły się w tej jasności jeden po drugim. Ale te uczucia miały jeszcze raz zagrać.

Dopiero przy trzecim dublu zauważył, jak obaj Anglicy wyprzedzają kulejącego Chmielińskiego. Mówił mi, że zobaczył to jak obraz w kinie, jak rzecz, która obchodzi, nawet bardzo, ale która nie jest niczym osobistym. Wie się, że się jest w kinie, że to na ekranie i już. Takie miał uczucie, kiedy Chmieliński coraz bardziej utykał i zostawał w tyle.

Anglicy? Teraz już oni dublowali tego naszego najlepszego biegacza. A Karman przyspieszał i przyspieszał. Chmieliński na piątym kilometrze nie wytrzymał, upadł na bieżnię. Potknął się o niego najlepszy Anglik i obydwu trzeba było znieść. Drugi wyspiarz zwolnił, bo zrozumiał, że i tak ma drugie miejsce, a Karmana nikt nie zdoła dogonić.

- Paskudna robota - po raz pierwszy mój rozmówca zaklął.

- Jeszcze jak paskudna. Outsider wygrywa w rekordowym, w światowym czasie. Mistrza Europy znoszą z bieżni. Znoszą i Chmielińskiego, bądź co bądź też świetnego długodystansowca, a Polska mając takich dwóch asów jak Karman i Chmieliński (bo dla wszystkich Karman okazał się teraz nowym asem), zamiast wygrać - przegrywa.

Różnica między pierwszym a drugim miejscem, pan wie, jak idiotycznie są ułożone te punktacje - ta różnica była zbyt mała do zwycięstwa. Za mała! Nawet nie zremisowaliśmy. Psiakrew! Kiedy o tym myślę, kiedy to wspominaam, wywracają się we mnie bebechy.

Równocześnie śmieję się sam z siebie. Punktacje, wygrane na bieżni - cóż to za sprawy dla życia ludzkiego.

Prawda?

- Głupstwa pan plecie- przerwał mi niecierpliwie - każdy ma taki korytarzyk, w którym wszystkie sprawy są dla niego najważniejsze. Dalej, jedź człowieku, dalej.

- Panu się zdaje, że ma pan zawsze rację? No, ale mniejsza z tym. Otóż na stadionie, gdy Zdzisiek przerwał taśmę i półprzytomny leciał dalej, zerwały się z jednej strony gwizdy, z innej wiwaty. Ludzie podzielili się na dwa obozy. Jedni chcieli wynosić nowego, fantastycznego mistrza świata na rękach. Inni rzucili się na nich. „To nie jest fair” - ryczeli.

Doszło nawet do bitek - rzadkość na lekkoatletycznych stadionach. Musiała wkroczyć milicja. Chmieliński otrzeźwiony już ale zbolały, z zerwanym ścięgnem, kiedy go niesiono do karetki, zdążył w przelocie uderzyć Karmana w twarz i krzyknąć: „Ty podła, podła, głupia świnió”.

Stary trener pod naporem spojrzeń i uwag swych wychowanków wyjąkał bez przekonania: „Za to pana (powiedział „pana”, nie „ty”) panie Karman, powinniśmy wykluczyć z drużyny reprezentacyjnej. Pan nie jesteś zespołowiec. A indywidualiści niewiele wskórają”. Mruczał to bez głębokiego przekonania, I on jeden tylko podał na pożegnanie rękę Zdziśkowi. Inni nie chcieli. Zdzisiek powiedział mi, że wtedy właśnie po raz pierwszy przeklął swego Profesora i jego wynalazek.

- Przeklął? Za co? Przecież sam był sobie winien.

- Był winien, to się łatwo gada. Każdego by poniosło. Tego ten uczony nie przewidział. Cóż to więc był za uczony?

- Za dużo pan wymaga od nauki.

- Za dużo pan wymaga od człowieka.

- Czekaj no pan. Dlaczego on zginął? Co to naprawdę było? I czy przypadkiem - mój rozmówca wstał i z wyraźną pasją podszedł do mnie - i czy przypadkiem właśnie pan go najbardziej po łajdaku nie ustawił?

Dobrze wycelował. Spuściłem głowę. W wodzie zobaczyłem jego sylwetkę, skróconą w tym odbiciu i pofałdowaną, ciemną, bez twarzy. Czy rzeczywiście ja Zdziśkiem źle pokierowałem?

- To dla mnie denerwująca historia - powiedziałem łagodnie.

- Więc pan, czy nie pan?

- Właśnie nie wiem. Dlatego to opowiadam.

Wydałem się sobie śmieszny. Poznałem tego faceta kilka godzin temu, w tej samotni, i już się spowiadam. Inna rzecz, że był to facet ciekawy, inteligentny. To był gość, jakiego mi było trzeba. Też dobrze wycelowałem.

- Zna pan dalszą karierę Karmana? - zapytałem.

- Obijała mi się o uszy. Ale pan? Pytam o pana.

- Poznałem go, kiedy już nie mógł biegać. W najcięższym momencie go poznałem.

- Czy to pana tłumaczy?

- Czemu, do diabła, mnie pan oskarża? Ja tylko mimo woli dokończyłem cudzą, zaczetą

przez kogo innego robotę.

Zerwałem się z kamienia, pośliznąłem się i o mało nie wylądowałem w wodzie. To mnie trochę uspokoiło.

- Czemu pan się mnie czepia? - dodałem - To był przede wszystkim mój przyjaciel. Mój serdeczny przyjaciel.

- Pański przyjaciel... Może on i czuł się pańskim przyjacielem. Ale to właśnie ja jestem tym jego Profesorem, który, jak powiadasz, zaczął robotę. To ja mu przepisałem kurację. Dalibóg, to była trudna i doskonała kuracja, i on ją cudownie zniósł.

Ukochany z księżycą

- Coś mi chodziło po głowie - wyjąkałem.

- Faktycznie? Był pan taki zajęty sobą.

Uspokoilem się teraz zupełnie. W opowiadaniach Karmana jego Profesor był postacią antypatyczną i diaboliczną. Miałem go przed sobą żywego i nie miał w sobie niczego, co mu przypisywał Zdzisiek. Nic a nic. Facet jak wielu innych. Tak, i do tego jeszcze niższy ode mnie o głowę. Niepozorny. Dlaczego właśnie ta zewnętrzna cecha ma dla mnie jakieś znaczenie, szczególne znaczenie? - pomyślałem. W ogóle nie sprawiał zbyt imponującego wrażenia.

- Jak to przypadek łączy takich dwóch, jak my - zagadałem.

- Wcale nie przypadek. Przyjechałem tu za panem.

- Po co?

- Szybko utraciłem kontakt z Karmanem. Nie chciał się z nim stykać. Po owym meczu już się prawie ze mną nit widywał, chociaż niczego nie wykryto, mimo że zarządzono badania antydopingowe. Przyszedł jeszcze tylko raz, żeby zapytać, na jak długo wystarczy mu tej jego przyspieszającej mocy. Podobno zachował ją do końca. Zachował?

- To tylko dlatego pan za mną przyjechał. Chciał się pan tego, panie uczony, dowiedzieć?

Milczał. Nie powiem, że bym czuł do niego nienawiść, albo nawet niechęć. Nie łączyłem jego osoby z Karmanem. To było dziwne, ale nie umiałem ich obu połączyć. Cała ich historia zamknięta została już w opowiadaniu. Mimo to próbowałem go sprowokować.

- Pan nie ma pojęcia, jak on pana przeklinał. Zawsze źle wspominał. Zawsze źle mówił.

- O panu już źle mówić nie może.

Przypomniałem sobie Zdziśka. Jakbym zobaczył jego odbicie w tej ciemniejącej wodzie. Wiatr ustał. Znowu nasze odbicia - tego Profesora i moje - były nie zmacone najmniejszą wodną

fałdką. Zdziśka już między nami nie

widziałem. Przypomniałem sobie jak mi opowiadał o swoim uczone: „Wbijał we mnie te swoje silne oczy spoza szkieł. Właściwie to mnie zmusił do tej całej kuracji. Po diabła mi ona była? Gdyby nie to, byłbym przez kilka jeszcze lat tym „jednym punktem”, a potem mógłbym się nauczyć zawodu jakiegoś, albo wrócić do swojego dawnego. Kto wie, może pozwoliliby mi zostać nawet trenerem. Zawsze miałem jakieś zasługi. A ja przez niego na te zbyt bystre wody... Byłem głupi. Za mało siebie znałem. Taka rzecz wciąga; jak się raz zacznie, to później kółka się kręca. Maszyna za ciebie pracuje, i nie umiesz jej zatrzymać”. Nie umiał się zatrzymać, a właśnie pan go tak rozkręcił.

- Bzdura. Prędzej, czy później - każdy dochodzi do tego wniosku. Pan jeszcze nie?

- Bo ja wiem.

- No, więc...

Wyraźnie przyczepiał się do mnie. Dobrze. Tylko, że nie wyczuwał mego nastroju. Przy nim, dzięki jego obecności, nawet bez tego wyznania, że to on Zdziśka namówił do kuracji, zdążyłem zrzucić z siebie część swego ciężaru. Teraz ten ciężar był jeszcze mniejszy. Męczyło mnie co innego. Profesor przysunął się do mnie. Oparł dłoń na moim ramieniu. Miał bardzo ciężką, niespodziewanie ciężką dłoń.

- Niech pan mi jeszcze o nim opowie.

- Proszę bardzo.

Woda przed nami. Las za wodą. A tu siedzą sobie na brzegu dwaj faceci i mówią o kimś trzecim, którego nie ma, którego nie ma na zawsze, ale oni go jeszcze mają za trochę żywego.

- Proszę bardzo - powtórzyłem. - Mimo, że go znienawidzili koledzy, trener nie wykluczył go z drużyny. Ostatecznie Zdzisiek zrobił fantastyczny czas. A to się w sporcie liczy. Nikt w ten czas wierzyć nie chciał, ale w każdym razie zwycięstwo jego było murowane. Dostał nagrodę. Wyznaczono go z Chmielińskim jako jedyną naszą reprezentację na meeting do Sztokholmu.

- jak to przyjął? Pan go wtedy już dobrze znał?

- No, niezupełnie dobrze.

- Pan wietrzył sensację.

- Tak - odpowiedziałem - ten jego wynik wydał mi się mocno podejrzany. Czulem, zresztą wszyscy czuli, jakieś świństwo, machlojki.

- Jakie tu świństwo? To go tyle kosztowało. Czemu świństwo? »



- Przecież to nie jest sport.

- Wie pan co, wyczyn w ogóle nie jest sportem. Treningami, techniką, taktyką a czasem masażami i innymi zabiegami robi się z człowieka maszynę do zwyciężenia. Jeżeli nie umie sprostać nałożonym na nią zadaniom, wyrzuca się ją. I to ma być sport?

- Nie wiem. W każdym razie samodzielny wysiłek, upór, praca...

- A tam nie było niby uporów, pracy, straszliwego wprost wysiłku?

- I pomoc z zewnątrz, że się tak wyrażę.

- Dużej klasy wynalazek, nieprawdaż?

- Zbyt dużej, zbyt dużej - zawołałem.

W Sztokholmie, do którego zresztą Chmieliński nie zgodził się za żadną cenę jechać z Karmanem, Zdzisiek znowu odniósł tak samo piorunujące zwycięstwo, I idiotyczne - dodałem - zarznął biegaczy angielskich, amerykańskich, czechosłowackich i szwedzkich. Zniesiono z bieżni trzy osoby. Nigdy już nie wróciły do sportu.

- Właściwie dopiero po tym biegu nie chciał mnie więcej widzieć. Tak, od tego biegu - wtrącił Profesor.

- Stary trener się uparł. Tłumaczył Karmanowi to, co pan. Mówił mu: „Bój się Boga, przestań tak szybko zwyciężać. Robisz biegi bez historii, raczej biegi do karet pogotowia. Opanuj się. Masz nagle w sobie taką fatalną siłę. Niech cię diabli wezmą, skąd ją wzięłeś, ale masz. To ją wykorzystaj umiejętnie. Żebyśmy coś z tego mieli". Zdzisiek obiecywał; „obiecywałem" - jak mi mówił - „i jemu i sobie". Ale gdy tylko znalazł się na bieżni, gdy tylko przebiegł pierwszych kilkaset metrów, wydawało mu się, że dostaje skrzydeł u ramion. Rwał naprzód. Rwał strasznie, bez litości dla innych.

- I dla siebie.

- Muszę panu powiedzieć, że z satysfakcją wykańczał swych byłych pogromców. W ogóle przeciwników, I ja mu to doradzałem.

- Ach, tak.

- Tak. Kamień z serca panu spada. Co? Ale nie wiem, ile w tym winy pańskiego wynalazku, a ile słabego charakteru Zdziśka. Dość, że po jeszcze jednym biegu, który stał się światową aferą (znowu kilku facetów w szpitalu) żadna federacja - mimo że badania nie wykryły środków dopingujących - nie chciała się zgodzić na dalsze Zdziśkowe starty. Został zaraz skreślony z kadry. Paskudnie o nim mówiono i pisano.

- A pan się coraz bardziej do niego przyczepiał?

- Tak tego proszę nie nazywać.

- Ale to prawda. To jest prawda - powiedział ostro.

- Nie!

Wstałem. Pomyślałem sobie: „jeden ruch i facet znajdzie się w wodzie. Głęboko. Może tam zostać na zawsze. Jestem silny”. Silny? Poczulem nieprzepatą chęć zapytania go jeszcze o jedno.

- A ten pański znakomity wynalazek? Podniósł swój okrągły łeb i przypatrywał mi się chwilę badawczo spoza drucikowatych okularów.

- Wydaje mi się - dodałem prędko - wydaje mi się, że ten pański wynalazek... że go Karman nie umiał wy-> korzystać.

- Ach, nie umiał?

- Starał się do końca. Najpierw wpadł we wściekłość. Skarżył się u władz i na trenera, i na Chmielińskiego, i na złe stosunki w sporcie. Rozrabiał. Po prostu rozrabiał. To właśnie przez tę rozróbkę, trochę przez nią, posłała mnie do niego redakcja. Przyznaję, szukałem możliwości wybicia się. Wietrzyłem sensację, i mnie Zdzisiek chciał użyć jako narzędzie. Narzędzie swojej zemsty na wszystkich razem i na każdym z osobna. A ja także uważałem, że jego sprawa staje się narzędziem mojej kariery. Zaprzyjaźniliśmy się. To zabawne. Z takich pobudek też się można zaprzyjaźnić i traktować to serio, i wytrwać w tym do końca.

Mówił mi: „Dziś byłem u tego a tego drania (wymieniał jakiegoś bossa sportowego) i dwie godziny czekałem w przedpokoju. Czekałem. Ja, który mógłbym pobić każdego”.

Gdy skończył z chodzeniem po prośbie u nas, spróbował u granicą. Tam go jednak też nikt nie chciał.

- „Zamiast kasy mielibyśmy szpital” - oświadczył mu bez Ogródek z angielskich macherów, kiedy mu się Zdilch przedstawił.

**Zaczął** kołatać do filmu. Namówiłem go do tego. Odbyła się próba. Reżyser oglądając próbne kadry zwrócił się ze słodkim uśmiechem do siedzącego obok Karmana: „Pan by to puścił?” Na ekranie widać było komicznego człowieka, który jedno tylko potrafił: kolosalnie się rozpędzać. Nic więcej. Tak, że się rozmażywał na ekranie, przestając niejako istnieć.

„Nic więcej” - ryczał Zdzisiek po powrocie z tej próby do domu. Podałem mu pomysł wspólnego napisania pamiętnika. „Będzie to wiarna historia twego życia” - mówiłem mu. - „Ostatnia twoja szansa”. Szczerze mu to mówiłem, licząc i na swoje zyski. Wtedy dopiero zwierzył

mi się z tajemnicy tej pańskiej kuracji. Przeczytałem mu jego pamiętnik, w którym z nazwiskiem, ze wszystkimi szczegółami opisałem koleje jego losu. Całą prawdę. Niezwykłą prawdę.

„Myślisz, że to ciekawe?” - zapytał. Wydawał się tego dnia ożywiony. „Takie było to moje życie, no, popatrz”. W ten sposób widzę to, co mi opisywałeś i to, co u ciebie bezpośrednio obserwuję” - odparłem. „Takie to było moje życie” - pokręcił głową.

Wyjechałem na dwa dni do stolicy, aby sprzedać ten pamiętnik. Nawet od razu przeczytali. No, i zwrócili. „Dziękujemy, nie skorzystamy”. „Dlaczego?” - pytałem. „Nie mieści się w naszym profilu. A szczerze mówiąc rzecz jest tak nieprawdopodobna”. „To szczerza prawda” - przekonywałem. „Tym gorzej dla pana” - redaktor rozłożył ręce i zęgnął mnie cukierkowatym uśmiechem. To nie była pierwsza negatywna odpowiedź, jaką dostałem w życiu. Ciągle mi odmawiano. Łamałem się nie jeden raz. Ta klęska była najboleśniejsza. Sądziłem, że po raz pierwszy udało mi się uchwycić na gorąco coś niezwykłego, i patrz pan...

- A on? Karman? Kiedy się dowiedział od pana o swojej kolejnej klęsce, w którą pan go wpędził?

- W tym sęk, że się nie dowiedział. Musiał ją wcześniej odczuć, i to jak! Umarł, podobno na atak serca, podczas mego pobytu w stolicy. Znaleźli go w jego pokoju dopiero na drugi dzień po śmierci. Nie zostawił ani słowa.

Profesor wstał. Robił wrażenie faceta, który nie zada więcej żadnego pytania. Przebrał się szybko. Ładował swoje plażowe manatki do wielkiej skórzanej torby. Pochylony, niewielki, o białym, trochę kobiecym ciele. Zacząłem się denerwować. Pójdzie sobie, i koniec.

Pochylony szukał w trawie jakiegoś zgubionego przedmiotu. Stał tuż nad wodą, która bardzo teraz pojaśniała. Między chmurami pojawiło się słońce. Przypadłem do tego faceta. Pochwyciłem mocno za rękę.

- A ten pański wynalazek? - mówiłem prędko, aby mnie nie odrzucił, aby nie przerwał i nie odszedł. - Czy ten pański wynalazek był tylko dla Karmana? Czy...

- Rozumiem, o co chodzi - podniósł głowę i uśmiechnął się. Znowu starał się być ujmujący. Ale nic w nim nie było z tego, co w nim widział Zdzisiek. Ot, miękki, nerwowy człowieczek.

- Ten mój wynalazek mógłby się rzeczywiście komuś jeszcze przydać. Komuś z lepszym sercem.

- Spróbuję - powiedziałem gorączkowo. - Co tam serce!

- Faktycznie?

Zdawał się zastanawiać długą chwilę. Stał w milczeniu, doprowadzając moją cierpliwość do białej gorączki.

- Dobrze, dobrze, ryzykujemy, niech pan spróbuje. Nie potrafiłem pohamować coraz większego zapалу:

- Koniecznie muszę spróbować. Wziąłem go pod ramię.

- Bądźmy przyjaciółmi - powiedziałem. - Możemy być przyjaciółmi, prawda?

- Spróbujemy jeszcze raz - odparł - może to ostatnia nasza szansa.

Obaj mieliśmy na pewno rację, i szliśmy razem. Dróżka prowadziła najpierw nad brzegiem, potem skręcała wśród drzew. Stąd był widok na odległe miasteczko. Świeciło w słońcu dachami. Ale ja już tego nie dostrzegałem, już czekałem na chwilę kiedy on włoży mi na głowę elektryczną koronę i każe zaufać sercu. Nie bałem się żadnego bólu. Teraz ja miałem szansę przeprowadzenia swojej rozgrywki ze światem.

### **APARAT TEŻ CHCE ŻYĆ**

Zostałem zaproszony przez znajomego księcia do jego wspaniałego państewka, które mieściło się stosunkowo blisko, bo zaledwie o sto lat świetlnych od nas. Nie mogę powiedzieć, że wyjeżdżałem całkiem bez żalu; zostawiałem tu całe rzesze pacjentów, których leczyłem starymi sposobami - ziółkami, lub przykładaniem rąk do różnych części ciała, albo też wymawianiem różnych przedziwnych słówek, których nauczył mnie jeszcze mój ojciec - czarownik z dziada pradziada. Na przykład „paździ, październik, październik, już w gruzach leżą Maurów posady”, „karakuliambro”, „fiški-miški”, „tio, tio, tio” i wiele, wiele innych.

Niektórzy już na pierwszy dźwięk lub dotyk podnosili się z najwygodniejszych nawet łóżek i zaczęli przynajmniej pełzać, jeśli nie po prostu chodzić na czterech lub dwóch kończynach. Inni, ci najpodatniejsi, szybowali przez powietrze, jakby im ktoś śmigielka wplótł we włosy. Raz nawet, muszę się przyznać, złapałem jednego z pacjentów na oszustwie. Faktycznie wszczepił sobie w czaszkę prawdziwe poliuretanowe śmigło i zanim nawet zdołałem go zakłąć, latał jak wystrzelony z procy.

Mój książę jednak o tyle mnie ciekawił, że po pierwsze brałem z nim razem udział w wielkiej wojnie planet, a po drugie - zapowiadał mi wówczas wprowadzenie twardych, najodpowiedniejszych dla jego poddanych reżimów naukowych.

- Emocje nas gubią - mawiał.

Nie mogę jednak powiedzieć, że już wtedy był człowiekiem całkowicie pozbawionym uczuć. Przeciwnie. Gdyśmy z pomocą dezintegratorów niszczyli całe kraje, zamieniając w cień to, co było światłem, a w światło to, co było cieniem, nicując żywe istoty i ich twory - szalał z rozpaczy, chociaż jego główną cechą było poczucie dyscypliny. Wywodził je z nauki, mówiąc:

- Stary, to straszne, rozpieprzyliśmy dzisiaj ten kraj. Popatrz - wskazywał mi - grzyby z ogromnymi grzywami i pianą tam, gdzie jeszcze przed chwilą roilo się od wszelkiego rodzaju żyjątek biegających w kółko w szaleńczym strachu przed nami. Biegały, biegały, wysyłały ku nam trujące tzw. długie dmuchy, od których doznawało się wstrząsu z obrzydliwości wywołanej takim smrodem, jaki mogłyby dać wszystkie razem zebrane śmietniki, nie opróżniane i nie wyrzucane w Kosmos przez lata.

- Stary - wołał do mnie - to potworne! Czujesz, jak to śmierdzi? Gdybyśmy mieli opracowaną naukową metodę dezintegracji śmieci tak, jak naukowo potrafimy dezintegrować życie, iluz cierpień moglibyśmy uniknąć!

A więc cierpiał.

Cierpiał przede wszystkim dlatego, że wiedział doskonale, iż te długie dmuchy wysyłane przez żyjątko miały swe pierwotne źródło właśnie w nienaukowym sposobie wyrzucania ziemskich śmieci, zatruwających coraz to potężniejsze obszary Kosmosu. Zresztą ludzie dawno już musieli opuścić starą Ziemię ze względu na otoczkę odorową, która stopniowo zastąpiła otoczkę ozonową w górnych warstwach atmosfery.

- Ta wojna jest wojną o smród, to wojna wydana nieuchwytnemu - krzyczał nieraz, chwytając się w rozpaczy za głowę, I planował, jak to sobie urządzi swój świątek, gdy powróci na swoją planetę i zacznie na niej rządzić.

- Widzisz - mówił z rozpaczą, obejmując swą głowę - to wszystko jest antynaukowe. To niszczy i mnie, i was. Trzeba to wytrzebić, wyczyścić! Myśl precyzyjna i konsekwentna musi opanować wszechświat, przeniknąć go na wskroś, do głębi. Na tym będzie polegać prawdziwe wyzwolenie.

Mnie, jako syna całych pokoleń czarowników ogromnie drażniły, choć jednocześnie frapowały jego plany. A że nie kłamał i w piekielnie konsekwentny sposób realizował swoje zamierzenia - przekonywałem się nie raz podczas tej parszywej wojaczki.

Zdarzało się nam często zdobywać cudowne miasta, zamieszkałe przez istoty tak piękne, że odrzucanie ich miłości byłoby po prostu świętokradztwem.

- Stary, parszywy czarownik - mówił do mnie wówczas pogardliwym, potępiającym tonem - jesteś nieczysty, zepsuty przez emocje do szpiku kości.

- Ależ księżę mój, jakież ono piękne! - odpowiadałem, klepiąc go zachęcająco po plecach i pokazując te kształty, od których zapierało dech, a krew szybko uderzała do głowy.

Białe, pełne krągłości, ze złotymi włosami, z meszkiem przy uszach i ustach, z miękkością ruchów bardziej niż kocią. Istotom tym nie mógł się nikt oprzeć...

Ciągnęliśmy naszego księcia między te cuda kształtu i barwy, ale on - choć czasem ogarniała go gorączka, co wyraźnie rzucało się w oczy - odpowiadał, wydymając wargi:

- Nie chcę! Nie chcę, to antynaukowe!

Jakże nie miałem teraz skorzystać z jego zaproszenia, zwłaszcza że podróż gwarantowano mi wygodną, w potrójnym zamrożeniu czekoladowym z dodatkiem soków z drzew pangi-pangi, niezwykle rzadkich w tym archipelagu planet. Tak rzadkich, że gdy się je sprowadza w hermetycznych wózkach z jedynej oazy znajdującej się bezpośrednio pod ziemią, gdzie dojrzewają pod wpływem działania bakterii nie znoszących słońca, ustawia się do nich stukilometrowa kolejka, tym różniącą się od historycznych, opisanych w książkach dawnych ogonków sklepowych, że całe rodziny przybywają w specjalnych domach

- balonach i mieszkają tak długo, aż uda im się ugryźć ziarenko pangi-pangi, co podobno sprawia wprost nadludzką rozkosz. Jest to - jak mi mówiono - rozkosz - ból, szczęście

- cierpienie, radość - rozpacz, jakich nie doznaje się nigdy w życiu, nawet w najcudowniejszych i najgorszych sytuacjach psychicznych i fizycznych.

Nie chcę tutaj dawać przykładów, prawie każdy dobrze je zna i wie, ile zawdzięcza jednemu małemu skrawczkowi owocu pangi-pangi. A ja miałem być tym podkarmiany podczas podróży w lodach dzięki hojności mego księcia, który przysłał po mnie luksusowy pojazd międzyplanetarny, zaopatrzony we wszystko, czego zamrożona dusza i ciało zapragnąć mogą.

Przed wszystkim zamrożonym i karmionym najwymyślniejszymi potrawami organizmom dostarczano w pojazdach stawy duchowej. Do komórek mózgu dostawały się fagi z gotowymi kodami języka, wzorcami obyczajów, z księgami historii sztuki i kultury, po to, by przybysz i gość księcia był kompletnie naukowo przygotowany i nie potrzebował nadużywać uczucia niezmiernie niebezpiecznego, jakim bywa zdziwienie.

Pamiętam, jak mój księżę jeszcze w czasie naszej kampanii mawiał:

- Do diabła z tymi różnymi zaskoczeniami; gdyby dezintegracji życia uczono nas od

najwcześniejszego niemowlęctwa, nie bylibyśmy tak litościwi, i to, co teraz robimy nie kosztowałoby nas tak wiele. Co uzyskamy przez te emocje? Do czego, po jakiego diabła one nam potrzebne?!

- Ależ człowiek jest istotą naturalną! - próbowałem protestować. - Przecież matki rodzą...

- Przestań. Znowu dajesz się ponosić bzdurnym sentymentom. To, co w nas naturalne nie jest człowiecze; jest zwierzęce, jest w każdym razie inne niż ludzkie. Ot, choćby charakterystyczne dla tych, których trzymam na muszce dezintegratora. Człowiek robił i robi wszystko, żeby odejść od naturalności! Zostawmy tę naturalność bydłaczkom, pocziwinom - uszatkom, nosatkom, lub łamigłówkom, nosorożcom, słoniom i świniom.

Uczmy się sztuczności od powstania pierwszej naszej komórki. Starajmy się być zawsze i wszędzie w niezgodzie z naturą, przeciw niej, Ż tym, co od niej inne, a więc nasze, stworzone przez nas, ludzkie i tym samym najwspanialsze.

Szturchnąłem go w przyrodzenie, żeby go dobrze zabolalo i zapytałem:

- No i nie czujesz bólu, ty sztuczny tworcze?

- Jesteś prymitywnym czarownikiem z państwem, w którym wierzą w gusła i dotyki - mówił, krzywiąc się srodze.

Ale potrafił stłumić wściekłość i chęć zemsty. To mi imponowało. Zauważyłem, że imponowało to także wszystkim naszym kamratom. Zdałem sobie nagle sprawę, że on wykonuje rozkazy z bezwzględna subordynacją tylko dlatego, żeby zdusić w sobie każdy odruch litości, buntu, protestu, zadrzności.

- Wal w nich! - mówił mu kapral, dość złośliwy i typowy dla tego rodzaju szarży.

Staliśmy okadzeni smrodem do granic wytrzymałości, do granic życia. Jeszcze sekunda, może nawet ułamek sekundy, a padniemy, zginiemy w tej strefie odoru.

Kapral więc w jakiś sposób ratował nam życie. Ale dla mnie, czarownika - lekarza, wszelkie zabijanie żeby żyć, jest przeciwne ludzkiej naturze i doprowadza mnie do szału.

A mój księżę chwycił się, jak to bywało w takich wypadkach, za głowę i walił do tych smrodzących z dezintegratora, aż pozostała po nich tylko piana.

Mieli wielkie pocziwe pyski z okrągłymi, wyłupiastymi czterema oczami, z których każde płakało oddzielnie, jak gdyby na własny rachunek. To znaczy był to płacz niesynchronizowany. Raz w jednym oku, raz spod powieki drugiego, to znowu nagle fontanna z trzeciego lub gorzkie słozy w czwartym, I tak na przemian. A on z tego musiał robić pianę.

- Patrz! - wołał przy tym, przekrzykując świst i rżenie - to są skutki emocji, braku naukowego podejścia do wszechświata, to są te resztki naturalności, które w nas siedzą i zdaje im się, że ciągle są z nami na drzewach.

Więc napompowany ciekawością wjeżdżałem do luksusowej rakiety mego gospodarza księcia i - jako znany od najmłodszych lat łakomczuch - już się rozglądałem, szukając tych lodów czekoladowych i pangi-pangi. Gdy wlałem do głębokiej wanny po szyję i zacząłem te lody lizać, nic już poza nimi i poza rozkosznym - bolesnym smakiem pangi-pangi się nie liczyło.

Lizałem, lizałem i lizałem. Sto lat upłynęło we wspaniałym, nieprzytomnym smaku nad smaki.

Nic poza lizaniem i rozkoszą - cierpieniem nie czułem. Nie wiem, kiedy nauczyłem się języka kraju mego księcia tak dobrze, że gdy wysiadłem, już bulgotałem bez zająknięcia wszystkie powitalne glu, glu, glu.

Jeśli książąt wyobrażamy sobie - a jest to schemat znacznie wcześniejszy od moich wojennych doświadczeń, bo wyniesiony z bajek dzieciństwa - w szatach koronacyjnych z berłami, karetami, sześcionożnymi końmi w białych pióropuszech - to to, co zobaczyłem miało w sobie rzeczywiście coś bajkowego.

Jako chłopak jeździłem w marzeniach takim samym ekwipażem zaprzężonym w nie kończący się sznur rumaków wymachujących skrzydłami. Tyle, że myślałem wówczas,

iż na każde skinienie tak jadącego tysiące moich rodaków pójda w ogień. Wskoczę wtedy na grzbiet rumaka, między skrzydła i z mieczem w ręku poprowadzę ich na wroga. Ach, te bajki i abstrakcje, te zabójcze marzenia o władzy, które z normalnych mężczyzn - delikatnych, inteligentnych przykuwających wzrok każdej niewiasty - czynią fanatycznych brutalni...

Miałem więc przed oczami księcia z mojej standardowej bajki, księcia w karocy, to znowu na rumaku z mieczem w dłoni, który równocześnie przypominał mi nieco kompana z międzyplanetarnej, śmietnikowej wojaczki.

Właził do bogatej karety w podejrzanie szarej świtce, wskakiwał na rumaki i chwycił miecz, odziany w tę szarość i zwyczajność zbyt rzucającą się w oczy.

Wyglądał najgorzej w całym państwie. Ostentacyjna prostota - myślałem, oglądając go od stóp do głów: na jednej głowie miał nasuniętą na uszy szarą czapę, druga była po prostu łysa i bez nakrycia, a trzecia miała jeszcze resztki czupryny, aleza to była jednooka, I to nieprawda, że w czasie walk dostało mu się w drugie zdrowe oko. Nic podobnego. Podobno urodził się z jednym



łbem cyklopiem.

Przed chwilą orszak rycerzy w srebrnych zbrojach prezentował przed nim i przede mną (tylko dlatego, że byłem jego gościem) broń, jakiej się już nie używa, broń z bajki. Ale mogłem być pewny, że w kieszeniach wszystkich nóg okrytych blachami tkwią całkiem nowoczesne dezintegratory różnego kalibru, albo jakieś nowe, całkiem oryginalne narzędzia do zadawania śmierci. Śmierci na jego, księcia skinienie. Gdyby on tylko na kogoś wskazał swoistym, umówionym gestem, wskazany przestałby istnieć.

Grały fanfary, rycerze w zbrojach defilowali przed nami, zajechaliśmy kareta do ogromnego zamku z basztami strzeżonego przez innych zbrojnych. Wszystko było obliczone dokładnie. Typowa komputerowa punktualność mego księcia, z której tak byli zadowoleni kaprale i generałowie podczas naszych wspólnych przygód wojennych.

Nie doznałem więc żadnych rozczarowań, bo potwierdziło się to, czego byłem zawsze pewny w tamtych naszych czasach.

Glu, glu, glu, glu - słyszałem dookoła. Całe miasto wyległo na ulice żeby nas powitać. Ludzie byli niezwykle bogato poprzebierani, wszędzie tylko zbroje ze złota, srebra, platyny - pancerze różnego rodzaju i kroju. Sprawiało to wrażenie, że książę jest najskromniejszym poddanym, wykonawcą woli tych superistot kipiących ciężyzną, rozpieranych pychą, opływających bogactwem.

Z początku, gdy patrzyłem na napierające tłumy, zaskoczył mnie w tym mieście zupełny brak pojazdów. Dopiero kiedy ciężko zbrojna masa ludzi pofrunęła na parapety okien i balkony, aby nam i naszej świcie zrobić miejsce na wąskich uliczkach, zrozumiałem, że zbroje były równocześnie swego rodzaju pojazdami.

Książę spojrział na mnie triumfalnym wzrokiem. Zwłaszcza to jedno cyklopie oko na trzeciej głowie mrugało do mnie z dumą. Jak się szybko przekonałem, były to mrugnięcia zsynchronizowane co najmniej ze wszystkimi zbrojnymi. Bo kiedy już nasz orszak opuszczał wąskie uliczki, jeden po drugim obywatele w złocie, srebrze i platynie- szybko lądowali na ziemi i rozchodzili się biegiem do domów.

W małych i bardzo maleńkich ciężkich zbrojach rozpoznawało się z wielkim trudem dzieciaki. Trzymały w dłoniach mnóstwo migających holograficznych napisów.

- Nasz kodeks - powiedział dumnie mój książę, klepiąc mnie poufale po łopacie. Oczy w obydwu głowach i uśmiechnięte usta wyrażały prawdziwą, szczerą sympatię do mnie. Byłem mu

za to wdzięczny.

- jaki kodeks?

- To przecież nie przypadek, że daje się dzieciom te napisy.

Przyjrzałem się uważniej wylatującym literkom. Schematy językowe napłynęły prędko ze wspomaganego fagami mózgu. Cóż, rozumiałem ich język, gdyż w stuletnim śnie przesadzili mi go do moich komórek, wszczepili jak mowę rodzinną.

Musiałem się po przeczytaniu napisów zaczerwienić, gdyż machnął mi przed nosem jedną z licznych swych dłoni (zawsze wyróżniał się nadzwyczaj bogatą budową ciała) i prędko zawołał:

- Nic to! U nas od dzieciństwa wszczepia się w ludzi poczucie humoru. W każdym razie wiesz już, o co chodzi. Wiedziałem.

- A gdzie fabrykujecie młodzież?- zacząłem się dopytywać.

- Zwiedzimy to później.

- Ale zasada? - dopytywałem się natarczywie.

- Nie ma żadnej miłości seksualnej. Są fabryki i koniec. Koniec!

Powiedział to tak obcesowo, że nie wypadało dalej wypytywać.

Dowcipne, hm, hm, napisy na tenże temat buszowały po dachach domów, trzeba przyznać pięknych, po jezdniach ulic pełnych opancerzonych poddanych, po chodnikach zajętych przez tłumy małych pancernych dzieciaków, a także wyskakiwały z okien, latarni tudzież z wielu sklepów.

Wielki kodeks księcia, niegdyś przez niego zapowiadany, tutaj dosłownie sięgnął bruku. Nie potrzebował mi mój książę już przypominać, że daleko posunięta eliminacja emocji doprowadziła stolicę do takiego rozkwitu, w jakim ją teraz poznaję.

Jednakże powiedział mi to expressis verbis, że kierując się swą naukową żelazną konsekwencją- zdołał zrealizować młodzieńcze marzenia. W każdym razie starał się dać odpowiedź na pytania, jakie stawialiśmy sobie w okopach, gdy tymczasem ja sądziłem, że wyrosłem z wielu z nich.

Nie podejmuję już dziś z nikim dyskusji, które nie prowadzą do jakichś bardzo skonkretyzowanych rezultatów.

Może to ktoś uważać za oznakę starości, jedną z pierwszych i podstawowych, doświadczenie jednakże odzwyczałało mnie jak mogło od utopijnych pragnień. Lepiej zadawałać się małymi, bardzo namacalnymi postęпами, które sobie rzecz jasna z mozołem trzeba

wypracowywać.

Gdy w tej przepysznej, skapaniej w najdroższych kruszcach stolicy przyjaciela zdałem sobie sprawę ze swych mizernych sukcesików i porównałem swoją pozycję z pozycją księcia, kiedy ujrzałem swoje marniutkie, zaledwie trój-ręczne odbicie w tych tysiącach zbroi, w tych obitych złotem co najmniej czterech rękach przypadających na jedno istnienie, całe moje dotychczasowe życie wydało mi się pomyłką.

Jestem prowincjonalnym podrzędnym czarownikiem; owszem, dość lubianym, mającym huk pacjentów, bo się nimi opiekuję, bo dbając o swoją reputację interesuję się ich losem i nawet jeśli kogoś przypadkowo uśmiercę jakimś zaklęciem czy zieleń, robię potem wszystko, by go wskrzesić.

Mam niewielki domek szybujący nad lasem, a ileż kłopotów i pożyczek towarzyszyło jego wybudowaniu? Mam starego typu helikopter, mam...

Tak, niestety mam też stracha przed każdą większą zmianą. *JL* pełnym poczuciem swego niedołęstwa, tchórzostwa i oszustwa wobec samego siebie a także wobec takich osobistości jak książę i wobec tego, cośmy razem przeżyli. Nieraz żywię tego rodzaju uczucie, zwłaszcza podczas spotkań z istotami imponującymi rozmachem swoich poczynań.

Nie należę do leniuchów i nie wierzę w przysłowiowy łut szczęścia, chociaż zdarza mi się przypisywać niejedną karierę specyficznym okolicznościom.

W gruncie rzeczy jednak szukam zawsze winy za błędy oraz pochwały za trafność wyboru (zawsze coś lub kogoś wybieramy) w jednostce, w sposobie jej postępowania, w umiejętności wykorzystywania sytuacji. Miałem przecież

niejedną okazję przeniesienia się do stolicy, zajęcia lepszej pozycji w tamtejszych klinikach. Uważa się mnie bowiem za zdolnego i inteligentnego czarownika, lepszego od niejednej ze stołecznych sław; cóż, kiedy nie starcza mi odwagi na zmianę środowiska i klimatu.

Zawsze w takim wypadku boję się zagubienia wśród spraw i osób, wśród chaosu podobnego zawierusze, która tak straszliwie dała nam się we znaki w okresie walki planet.

Wtedy właśnie byłem kompletnie zagubiony: nie umiałem odpowiedzieć sobie na pytanie skąd i dlaczego wziąłem się w sytuacji frontowej, co tu właściwie robię, a moja robota nie należała przecież do najlepszych. Gdyby nie książę, kto wie jakby się dla mnie okopowe historie zakończyły: czy nie byłbym sądzony za defetyzm i tchórzostwo, albo czy nie popełniłbym szaleńczego czynu, tracąc na zawsze zdrowie a może i egzystencję?

Pamiętam dobrze, jak wielu podobnych tchórzy zamieniono w kłapciuchy, istoty żyjące wewnątrz organów trawienia mieszkańców planety Clara Magna. A cóż to by było za życie wśród coraz bardziej kwaśnych żołądkowych, zgag i czkawek?

Jeszcze wówczas, w czasie walki planet, w straszliwym smrodzie bitew byłem bardzo ciekawy, czy mój przyjaciel księżę, który tak wspaniałomyślnie przyszedł nam na pomoc i stał się zwykłym ciurą wojennym jak i ja, jest szczery. Do czego właściwie zmierza i po co poddał się tej strasznej, brudnej robocie.

- Muszę zdobyć doświadczenia - mawiał.

Przy całym swoim czarowniczym sceptycyzmie, jak przystało na człowieka zajmującego się pół-nauką, pół-sztuką, bo tym niewątpliwie bywa leczenie - raz opierające się na milionach doświadczeń, to znowu wymagające bardzo indywidualnego podejścia do pacjenta - oceniałem księcia wyżej od siebie i to mi się teraz w jego wspaniałym mieście zdawało potwierdzać.

Z tym większą skwapliwością wykorzystałem okazję by mu dokuczyć i zakpiłem z jego kodeksu i jego praktyk naukowych. Gdy się bowiem dobrze przypatrzyłem domom, latarniom i wszystkim przedmiotom (czego zresztą nikt przede mną nie ukrywał) okazało się, iż wszystko to jest po prostu żywe, hodowane tak, jak hoduje się rośliny i zwierzęta na niektórych zacofanych planetach Układu Słonecznego.

- Przecież zwykłe krzesło pod tobą - powiedziałem memu księciu - może się nagle przeciw tobie zbuntować i zdusić ci twój tyłek lub co najmniej uszczypnąć w najbardziej poważnej chwili.

Żachnął się, zaczerwienił, ale nic na ten argument nie odpowiedział. Pamiętam dobrze: nigdy nie odpowiadał na żadne argumenty, tylko dawał mi do zrozumienia, że zeszmaciłem się w swym brudnym, prowincjonalnym miasteczku z domami na uwięzi, lekko tylko kolebiącymi się nad lasami i polami, bez najmniejszego polotu. W takich chwilach śmiał się ze mnie, zem facet na kolanach bijący wiecznie pokłony otaczającemu mnie światkowi.

Proszę nie sądzić, że te wzajemne złośliwości oddalały nas od siebie. Przeciwnie: nabieraliśmy poprzez nie dawnego żołnierskiego wigoru, dawnej bojowej soczystości, szkolarskiej pozy i ordynarności, które imitując rzeczywistość, trawestując ją, cudownie zbliżają mężczyzn.

Wyszliśmy pod wieczór na ulicę. Zmusił mnie do wdziania ciężkiej zbroi. Jak ona cudownie niosła! Wjeżdżaliśmy do sklepów, oglądając i wybierając te wszystkie wspaniałe maślidy, kamamy, rywoczniki i inne cuda, po których człowiek, choćby nie wiem ile pancerzy na siebie włożył, czuł się lekki, czuł się samą głową, samym nawet mózgiem.

- Widzisz - mówił mi książę. - To są nasze wynalazki. A ludzi nagradzamy za ich robotę większymi obowiązkami. Jesteś mądrzejszy - to możesz mieć tyle roboty, że nie tylko dnia ale i nocy ci na nią nie wystarczy.

- I są amatorzy?

- Ja, ja sam, ja także jestem taki.

Nie spodziewałem się tej reakcji i prędko przeszliśmy do omawiania dzieł sztuki, która rozwijała się tutaj z niezwykłą siłą w najbardziej tradycyjnych formach malarskich.

Byłoby grubą przesadą i złośliwością, gdybym próbował naśmiewać się, że artyści mego księcia malują tylko jego z dobrotliwym uśmiechem na twarzy, lub że zatrudnia ich się do sporządzania holograficznych napisów do sklepów i na ulice. Malowali i holografowali mnóstwo rzeczy, dając przede wszystkim wyraz surowej zasadzie moralnej.

Z rozchwianych trochę, przepięknych domków jednorodzinnych i biurowych drapaczy chmur wychodzili (na tych obrazach) mieszkańcy kraju; duzi i mali, wszyscy w pancerzach bajecznie kolorowych (zdarzały się nawet i kryształowe, których w rzeczywistości jakoś nigdy nie zobaczyłem). Raz tylko zdawało mi się podczas wizyty u jednego z laureatów, że za stosami tych cudownych pancernych istot, dojrzałem nieźle namalowany realistyczny akt kobiecy. Było to jednakże już w momencie opuszczania pracowni i nie miałem możliwości sprawdzenia, czy nie uległem przekornemu przywidzeniu, które nie wydawałoby się niczym dziwnym po przejrzeniu dziesiątków kolorowych afirmacji tego co nas tam otaczało.

Podziw budziła organizacja całego życia i żelazna wprost dyscyplina. Na skinienie pancernego policjanta z przyłbicą zaciągniętą na całą twarz, pancerni wszelkich rozmiarów, rozpędzeni do z góry ustalonych szybkości, zatrzymywali się wzdłuż wytyczonych linii, równiutko jak nigdzie na świecie. Reguły prawej ręki przestrzegano z niesłychaną precyzją. Nigdy i nigdzie najmniejszego uchybienia. Ani jednego wypadku, ani jednego pijanego na ulicach.

Na każdym domu tuż pod dachem znajdowały się dziesiątki zegarów i wskaźników, w których znaczeniu i działaniu było mi się trudno połapać.

Tutejsi jednak - jak mi mówiono - mieli tę umiejętność wszczepioną głęboko w krew. I jeszcze jedno mieli na pewno w tej swojej krwi: każdy się starał ustępować każdemu z drogi; spojrzenia zza przyłbic, ledwo zresztą widoczne, kierowano albo ku niebu albo ku ziemi. Ukradkiem tylko wypadało śledzić przebywaną drogę. Zagłądanie w oczy, przyglądanie się sobie wzajemne uważano za nietakt, więcej - za wyraźną chęć ingerencji w cudze sprawy.

- A ja to potępiam, bo wyraźnie interesowanie się kimś innym jest poddawaniem się emocjom - poinformował mnie mój książę.

Byłem wzruszony i podniesiony na duchu tymi objawami powszechnej subtelności i niezrównanej dyscypliny, jakkolwiek mój czarowniczy sceptycyzm nie dawał mi ciągle spokoju: co kryje się za taką układną fasadą?- myślałem i to nawet z niepokojem. Tak, z niepokojem, bo przecież chodziło o konfrontację ideałów urzeczywistnionych przez serdecznego przyjaciela z tym, co ja dotąd w życiu osiągnąłem, ja - mizerota z małego miasteczka, znający wprawdzie nieźle dolegliwości ludzkie - a zwłaszcza ten niepokój tkwiący zawsze w naturze istot myślących, niepokój pchający je do podboju Kosmosu i do kłamstwa, do tworzenia arcydzieł i do zbrodni, do wielkiej miłości i jeszcze większej zdrady.

Gdy już dobrze poznałem to miasto i kraj, i kiedy zdawało mi się, że nasze codzienne wielogodzinne wycieczki zmusiły mój sceptycyzm do milczenia, udało mi się nagle znaleźć wreszcie lukę - i to jaką! - w całym tym misternym systemie.

Poczułem się tak, jakby piorun we mnie trzasnął. Ogarnęła mnie wielka schadenfreude; wszystko, co tkwiło we mnie zawistne i złe, wściekłe i zazdrosne, zaczęło śpiewać swój triumfalny hymn. Stałem się gniazdem jadowitych węży i tymi - jakże bardzo ludzkimi i paskudnymi odruchami - usprawiedliwić się staram, niestety na próżno, swoją w gruncie rzeczy obrzydliwą zdradę.

Tak, tak; poznałem wreszcie żonę mego przyjaciela - księcia. Bardzo się usprawiedliwiał, że dotąd nie miał okazji mnie jej przedstawić, ale przecież tyle mieliśmy wspólnie do obgadania, tyle chciał mi pokazać, iż nie starczało już czasu na demonstrowanie osobistego życia.

- Chłopie, toż ja się z nią najczęściej całymi dniami nie widuję, - tyle roboty, tyle roboty! I prędko dodał:

- To potwierdza ogólną zasadę; w tym wypadku nawet moja rodzina nie jest wyjątkiem. Nie może nim być.

Dziewczyna była tak fajna, że do dziś nie mogę zrozumieć, po co się tworzy takie dziwne zasady: włosy czarne jak smoła, miodowe oczy zachodzące delikatną mgiełką, w którą zdawała się umyślnie spowijać swego rozmówcę, żeby się kompletnie zagubił, żeby zapomniał o wszelkich drogach ucieczki od kształtu jej obydwu twarzy, owalu ramion, pełności piersi. Naiwne wyliczanie poszczególnych części jej ciała, rozrastających się jak na zamówienie, nie ma zresztą najmniejszego sensu; na pewno i tak każdy ją sobie inaczej wyobrazi, kompletnie inaczej niż ja ją

widziałem po raz pierwszy, jeszcze inaczej niż ją widziałem po raz drugi, trzeci, czwarty. No i całkiem inaczej, niż wtedy, gdy opuszczałem gościnnie i żegnałem się z gospodarzami.

Mówię o pożegnaniu, aby od razu zaznaczyć, że ostatecznie do żadnej tragedii nie doszło, niemniej jednak byłem bliski wszelkiej podłości wobec księcia, tak mi się ta jego żona spodobała.

Następnego dnia po jej poznaniu wymówiłem się od wędrówki po mieście, skarżąc się na rzekomy ból głowy tak uporczywy, iż żadne piguły nie zdołały mi pomóc. Proszę pamiętać: należą do istot jednogłowych, tym łatwiej więc wśród wielogłowych budzę współczucie. Tak głośno zaś gadałem o swym cierpieniu, tak nieustępliwie dążyłem do pozostania w pałacu, że darzono mnie spojrzzeniami, których współczujących powłóczyści nie dorównają najwymyślniejsze nylonowe welony i cała nauka i technika ze swoimi wynalazkami idzie w diabły, gdy się w taką

67

powłóczyście zapłaczesz (styl oracji księcia z czasów wojny). Nie ma już wtedy ani sceptyka, ani marzyciela, ani przyjaciela, ani swata ani brata, nie istnieją żadne konwencje. Idiocieje się, jednakże to zidiocenie dostrzega się dopiero po wszystkim, a raczej określa się głupotą i ©balamuceniem całą sprawę dlatego, że została definitywnie zakończona i nie ma do niej powrotu. Gdyby powrót był możliwy - nie nazywalibyśmy siebie idiotami.

Gdy wreszcie doszło do randki, na którą przyszła do mnie trzeciego wieczoru od zawarcia znajomości, pomyślałem w pierwszej chwili:

- Mam go, chwyciłem więc mego księcia za gardło, zawałem jego cały dobrze wydumany i urzeczywistniany reżim, położyłem własnego przyjaciela na obie łopatki.

Ta radość wydawała się ohydna, urągająca serdeczności uczuć, braterstwu z czasów wojaczki. To potośmy się wzajemnie ratowali, wyciągali z atomowych pogorzeliisk, narażając życie? Zgrzytały atomówki, raz on mnie wywlócił z takiego piekła, to znowu ja go uratowałem z walących się ruin, kiedy z piętra ostrzeliwał się samotny po stracie naszej pozycji i wycofaniu się grupy operacyjnej; dostał wtedy odłamkiem w nogę. Pokazywaliśmy sobie nasze blizny, rzecz jasna zaraz na początku mojej wizyty i roztkliwialiśmy się, i dławili równocześnie tę niemal kobiecą tkliwość. A teraz ja gotów byłem skakać z radości, że go niszczę, że obnażam ohydę fasadowości tego, co stworzył z trudem i mozołem (słowa księcia) a co mi jeszcze wówczas w okopach zapowiadał.

Moja obrzydliwa radość stanowiła świetne tło, nadawała szczególnego klimatu rozmowie i zabawie, jaką z księżną beczelnie prowadziłem. W pewnym momencie wybuchła słodka

dziewczyna skargami, które w pana małżonka mocno godziły: okazało się, że ten delikatniś i subtelniś nie umie w intymnych sytuacjach okazać swej poślubionej ze szczerej miłości prawdziwych uczuć, ukochania i przywiązania.

Zaraz po ślubie wszystko szło jak z płatka, kilka godzin pracy (widać tyle starczyło na knucie całego tak dziś rzekomo precyzyjnie działającego systemu) i zaraz potem powrót do domu, krótka drzemka (mój Boże, książę), pieszczoty, pieszczoty, wspólne spacery, powroty, i ciągle wskakiwanie do łóżka, chęć nieustannego całowania, bycia razem. Jakże prędko to minęło...

- Nie widzimy się prawie cały dzień. Ta jego praca, praca, praca... Żadnych czułości, żadnych.

Czułem szczerą szacunek dla konsekwencji tego człowieka.

Opowiadała mi o chłostach za byłe przewinienie, chłostach których nie szczędzono tak wielkim, jak i małym. Teraz ludzie już się panicznie boją, bo ileż przedtem batów zebrali! Bito aż do nieprzytomności, i to stopniowo za coraz mniejsze przewinienia. Sprytnie pomyślane.

Wstydziła się natomiast mówić, co grozi kobiecie, a także i mężczyźnie (bo trzeba przyznać, że prawa i obowiązki mają jednakowe dla obu płci), co więc grozi w razie zdrady.

- Tak się dla mnie narażasz? - pytałem.

Na to ona zaprowadziła mnie aż pod jego pokój, śmiało otworzyła drzwi, nie zwracając uwagi na moje, pełne przerażenia spojrzenie.

- Tam śpi mój książę, śpi na słomie; gorsze, grubo gorsze ma posłanie niż najgorszy jego poddany, a spia snem kamiennym, mogłabym go zabić.

Zatrzasnęła drzwi; ja zaś swoje, kiedy wróciliśmy od śpiącego, mimo wszystko mocno zarygłowałem. Objęliśmy się mocno. Dotykając jej wielkich ślicznych piersi, szedłem prowadzony przez nią do okna obszernej werandy, skąd widoczny był cały dziedziniec pałacowy.

Romantycznie świecił księżyc, za sztachetami i kawałkiem złoto-czarnej plaży iskrzyło się morze.

Gadaliśmy i gadaliśmy jeszcze o księciu, o tutejszych stosunkach, o naszej sympatii; zdania o zwyczajnym życiu mieszały się z komplementami i wyznaniem - typowa wstępna gadanina kochanków. Chciałem się jak najszybciej dobrać do wypukłych piękności, jakie wyczułem pod lekką narzutką peniuaru. Dosadne wyrażenia i wyobrażenia z czasów wojaczki przeplatały mi się z najczulszymi, przy czym tylko czułości wyrażałem słowami i gestem. Zabawna natura - mężczyzna musi tłumić nieustannie swą brutalność i ordynarność, kiedy styka się po raz pierwszy z dziewczyną, której potrzebuje, ale nieraz brutalność szybko bierze górę.



- Byle tylko nie zepsuć tej chwili - pomyślałem.

Na razie zabawa rozwijała się znakomicie i w tempie, w jakim róża czy inny kwiatek rozwija się na filmie przyśpieszonym ukazującym cuda przyrody. Delikatnie odciągnąłem dziewczynę od okna i nagle zatrzymałem się, dojrzałem w świetle księżyca, wystarczająco jasno ukazującym scenerię pałacowego podwórca, jak rycerze pilnujący dziedzińca wyłażą ze zbroi, pozostawiając te srebrzyste skorupy podparte dzidami puściuteńkie. Dziewczęta służebne również bez zbroi wносиły im z kuchni flachy z wodą. Było dużo pokrzykiwań, pogoni, szczypanek - zaczynała się orgietka.

- Tak jest zawsze - powiedziała księżna. - Nocą wszyscy tu wypelzają ze swych skorup i szaleją wiedząc, że On ma mocny sen.

Zrobiło mi się żal tego człowieka. Stworzył system idealnie przemyślany, idealnie realizowany w dzień ale nie wytrzymujący nocy. Byłem wściekły na tych ludzi, nawet na moją partnerkę, za ich oszustwa wynikające z prymitywnych instynktów.

Żałowałem też coraz bardziej porządku tak nagle i tak łatwo rozpadającego się w proch i pył. Już byłem gotów złorzeczyć, podobnie jak mój przyjaciel złorzeczył w okresie naszych okopowych okropności - systemom, przełożonym i naturze ludzkiej, wszystkim razem i każdemu z osobna, i tym szybciej postanowiłem sobie także

poszaleć. Im wolno, niech będzie wolno także i mnie. Więc począłem bardzo natarczywie, porzucając wszelką delikatność, ciągnąc słabo opierającą się księżnę ku szerokiemu, wypukłemu łożu. A tuż koło łóżka, na nocnym stoliku z epoki rococo (tak świetnie te hodowane meble pasowały do naszych poczynań), stał również hodowany, żywy, zielony telefon. Mdlejącą dłonią moja partnerka pochwyciła słuchawkę, z której rozległo się przymilne skrzeczenie:

- To ja - aparat, ja - twój aparat, ja - twój aparat też drzę...

Ręka opadła, kładąc słuchawkę na widelki, skrzek ucichł. Ostatnim tchem zdołała mi jeszcze wyjaśnić, że telefony w dzień działają normalnie i zaraz zaczęła się zabawa, podczas której myśli się już tylko o rozkoszy, o niczym innym tylko o rozkoszy: usta, piersi, uda, usta, piersi, usta.

I do niczego nie doszło.

Bo proszę sobie wyobrazić, że w momencie największej ekstazy natrafiłem na średniowieczne narzędzie tortur, na ohydę o jakiej istnieniu świat dawno zapomniał. Uczucie odrazy, litości dla mojej partnerki, nienawiści do księcia zostało zdominowane przez powtarzający się w mej głowie refren: co za przewidujący facet, jednak potrafił zabezpieczyć siebie i swój

system, co za przewidujący facet, jednak potrafił...

Księżna miała na biodrach metalowy pas cnoty.

- Tu wszystkie tak chodzą - powiedziała.

- Mówiłaś, że we śnie można by go zabić, pobiegnę do tego łajdaka, opowiem mu o pancernych porzucających zbroje, o nocnych orgiach, o tobie, zbudzę go, wszystko mu powiem, rozdepczę tę jego ponurą dzienną pewność siebie, te, wyższość, którą mi okazuje.

- To nie ma sensu - powiedziała wciągając szlafroczek.

- Ależ ten, ten, ten pas to bzdura, byle pilnik to przełamie, przerypię to zaraz.

Dobrze, że nie zwróciła uwagi na wymykające mi się coraz częściej ordynarności, tak była przejęta, płakała, płakała.

- No, proszę - przepiłujemy to, prosta sprawa.

- Nie chcę, nie chcę!

- Boisz się? - znowu począłem używać najczulszych słów, zbliżyłem się, znowu pocałunki, pieszczoty. Owszem całowała, pieściła, ale pasa za nic nie pozwoliła dotknąć.

- Bo ja kocham mego księcia.

Gdy byłem chłopcem dojrzałym już do wieku spowiedzi, nieświadomym jednak jeszcze wszystkich grzechów wyliczonych w książeczce do modlitwy specjalnie przeznaczonej dla chłopców i dziewcząt w tym wieku, marzyłem aby je poznać. Po pierwsze dlatego, że to, czego się doświadczyło a co jest zakazane, pociąga - banalna prawda. Poza tym, nie znając z doświadczenia a czasem nawet i z nazwy całej listy, bałem się nie tylko wyznania winy, lecz także mimowolnych przemilczeń, co według mego ówczesnego mniemania nie pozwalałoby mi na pełne rozgrzeszenie, po którym zawsze czułem się jak nowo narodzony. Dlatego na chybił trafił ryzykowałem często robienie i wyznawanie grzechów o nazwie dla mnie tajemniczej, nie wyjaśnionej, sądząc, iż gdyby to było obciążanie siebie na zapas (bo może zdrożność popełniona inna jest od nazwanej) i tak mi zostanie wybaczone. Warto było ryzykować najgorsze dla kompletnego samooczyszczania siebie, warto było udawać skrucę, walić się w piersi, byle tylko zostać na pewien czas uwolnionym od ciężaru własnego sumienia. W końcu wymyślałem nazwy coraz to nowych grzechów; ach, jeszcze wówczas nie byłem czarownikiem.

- Kochasz go, to czemu jesteś ze mną? - zapytałem w przerwie między pocałunkami.

- Wszystko mu i tak powiem.

Odsunąłem się gwałtownie, powinienem jak najszybciej stąd odjechać, w ogóle

niepotrzebnie zgodziłem się na tę gościnę, czegoż bowiem oczekiwałem od mego księcia?

Odpowiedzi na pytania, jakie zadawaliśmy sobie przed laty, pytania naiwne i młodzieńcze, już wtedy podejrzenie retoryczne?

Czy za to, że odpowiedzi być nie mogło, miałem się na nim mścić, szukając nowych luk w jego za dnia bezbłędnie działającym systemie, i to szukając ich wówczas, kiedy on odczuwając czystość, dziewiczość swego sumienia, spał snem sprawiedliwego na swoim madejowym łożu?

Co prawda spał tak i dlatego, że stosował pewne zabezpieczenia, chytre, ale przecież nie mogły one działać wszędzie, we wszelkich dziedzinach, którymi tu władał. Był że faktycznie jedynym sprawiedliwym i zadufanym w sobie głupcem, czy - a tego mój sceptycyzm także nie chciał wykluczyć - być może sprytnym znawcą natury' ludzkiej, która prędzej czy później zmusza grzeszników do wyznań i ekspiacji za popełnione a nawet za potencjalne przewinienia?

- No, nie powiem mu zaraz, dopiero jak wyjedziesz.

Proszę, ona myśli o swoim zbawieniu, nie troszcząc się, że po tym, co zaszło muszę się czuć jakby mi kto w twarz napluł. A może i w ten sposób chciała także i mnie zmusić do spowiedzi i pokuty, działając jako Jego najlepsza przyjaciółka i sojuszniczka. Więc po kolejnej nie przespanej nocy z księżną pożegnałem ich oboje.

Księżę nie chciał mnie puścić. Bałem się, że mnie siłą zatrzyma, czas pożegnania okropnie się przedłużał, a wcale nie miałem ochoty na wyjazd w nocy, tak mocno zmieniającej tu miły i układny porządek, kiedy to nawet aparat telefoniczny oferuje inne usługi niż te, do jakich został przeznaczony.

Aparat też chce żyć. Trudno mi jednak w to uwierzyć, aby bez jakiejś zewnętrznej ingerencji dochodziło aż do tego.

Na odjezdnym mój przyjaciel zawołał:

- Odwiedź mnie wkrótce, koniecznie mnie odwiedź, przyjeżdżaj kiedy chcesz, w dzień albo i nocą, o każdej porze, nie gnij w swoim śmierdzącym miasteczku.

Gdybym był wobec księcia bez grzechu, rąbnąłbym mu w oczy całą prawdę o jego idealnym porządku. Niestety, proszę mnie dobrze zrozumieć, nie mogłem tego zrobić. Raz, że zabrakło mi odwagi, bo chciałem spokojnie wrócić do całego bałaganu jaki panuje u mnie i zwyczajnie leczyć ludzi z chorób, interesując się całym ich losem. Po drugie; nie da się, nie powinno się zrywać przyjaźni zawartej w chwilach do ostateczności trudnych, prawda?

## **ONI JUŻ TU SĄ**

- Janka, Janka odezwij się wreszcie!

Stali obydwójce pod półkilometrową ścianą lodową okutani w kombinezony i grube szale. Świeciło żółte, wysokie słońce i taki odbłask bił od zimnej bieli, że mimo okularów mógł wypalić oczy.

- No mów, tłumacz się. Albo schodź na dół. Nie pozwolę ci zniszczyć twojej ekipy.

Milczała. Wiedział doskonale, że mimo wyczerpania przygotowuje na jutro atak na szczyt. Pragnęła, aby jej babki - tak zawsze je określała - pierwsze, przed mężczyznami, zdobyły tę „szklaną górę”. ^Podejście miało być rozpoczęte przez czwórkę. Potem nocleg dwieście metrów od wierzchołka i generalny szturm dwójki.

- Nie dojdziecie, zmarnujesz babki - mówił dalej, ale bez skutku.

Jako kierownik całej wyprawy miał na nią tylko jeden sposób. Mógł przemocą odesłać ją samą lub całą kobiecą ekipę w dolinę, do prymitywnego schroniska. Oczywiście wymagało to użycia siły i męskiej eskorty. Rozbiłoby to zespół i uniemożliwiło próbę zdobycia szczytu.

W momencie, gdy jej to wszystko tłumaczył, własny głos wydał mu się śmieszny w tej lodowej głuszy a argumenty brzmiały tak jakby z całkiem innej planety. Obawiał się, zapewne słusznie, że chłopcy - gdyby nawet odważył się wydać im rozkaz użycia siły - po prostu niespełniliby go.

- Życie ludzkie?- myślał - cóż ma za znaczeń i e to życie tutaj, na tej wysokości, gdy każdy krok staje się ryzykiem, gdy oddech dławi przy każdym ruchu? Obliczanie prawdopodobieństwa sukcesu, stosowanie twardego reżimu wypoczynku, wymuszenie dyscypliny przestawało mieć w tych warunkach jakikolwiek cień sensu. A jednak próbował, uważał to po prostu za swój obowiązek, absurdalny, lecz zawsze obowiązek, i wcale nie chciał z niego zrezygnować. Rozmyślał z maniackim uporem w jaki sposób mógłby przeszkodzić babkom w ich jutrzejszym ataku. Sam?

Janka powoli odwróciła się na pięcie i weszła do swego namiotu, który prawie wisiał nad jęzorem lodowca, na urwistej zaśnieżonej grani. Machnął ręką i odszedł do swoich. Woda buczała już w czajniku omiatanym jasnym płomieniem maszynki. Poczul ogromne pragnienie. Zdawało mu się, że wypiłby rzekę aromatycznej, doskonałej herbaty.

- Nic nie wskórałeś? Oczywiście.

Spojrzał z wściekłością na przyjaciela, któremu rude kosmyki długich włosów niesfornie

wydostawały się spod kapuzy.

- Niech idą - dodał Rudy - niech sobie idą. I tak szczytu ani jutro ani pojutrze nie zdobędą. Chyba, że im pomożemy, że będzie to ekipa mieszana.

- Ależ to wbrew umowie.

- Pal sześć umowę. Ważne, żeby tę górę zdobyć.

- Nie pozwolę na łamanie umowy! - zawołał Robert. Wszystko chcecie teraz poprzewracać do góry nogami, bo jesteśmy pod szczytem, bo wokół panuje martwota i nawet wyczyn sportowy traci tu swoją wartość. Ale potem, tam na dole, będziemy normalnymi ludźmi i będziemy musieli się gęsto tłumaczyć i wstydzić swoich słabości, swoich..

Przyłączyli się i inni koledzy. Babki poukrywały się natomiast w namiotach, pozamykały szczelnie, żeby się z nimi porozumieć trzeba by było zniszczyć sprzęt. Dyskusja trwała do zachodu

Słońce schowało się za szczyty a zszarzałe niebo zlewało się z szarzącym lodem. Wówczas zerwał się wicher, z szarego nieba oberwała się chmura śniegu. Mróz zaciskał usta, zalepiał nosy.

Usłyszeli ten krzyk, gdy słońce znowu świeciło oślepiającym blaskiem.

- Coś zrobił z Janka? - krzyczały uczestniczki wyprawy, jedna *przez* drugą napierając na namiot Roberta. - Coście za kawał nam wymyślili?!

- O czym mówicie, czego chcecie?

- Nie ma jej!

Robert rozejrzał się, przeliczył szybko; oprócz Janki wszyscy cisnęli się wokół namiotu na tej małej płaszczyźnie nad lodowcem.

- Nie wygłupiajcie się! - wrzasnął. - Puściłyście ją samą? Samą? To już obłęd!

Umilkli, patrzyli na siebie zdziwionymi oczami jakby widzieli się po raz pierwszy.

Namiot Janki był najbardziej wysunięty nad oblodzoną skałę. Robert lornetował przepaść, wpatrywał się także w ginący za granią szlak, którym szturmowa grupa babek miała podejść pod szczyt.

- To już jest, to jest... Umówiłyście się, że ona pójdzie pierwsza i w ten sposób wymusicie moją zgodę. Zofia, Rena i Zuza - przyznajcie się wreszcie. To jest...

- Nie byliśmy z nią w zмовie- powiedziała z godnością Zuza, najwyższa i najstarsza z całej trójki. - Babki, walimy same - zwróciła się do koleżanek i natychmiast rozpierzchnęły się po swych namiotach i gorączkowo zaczęły przygotowywać się do wyjścia.

Blask rósł. W gruncie rzeczy na rozpoczęcie pierwszego szturmowego marszu było za późno, ale zniknięcie Janiny osłabiło wszelkie ostrożności i rygory. Robert był tak wściekły, że nie potrafił z siebie wydusić ani słowa.

Obszedł dokoła namiot, w którym Janka spała z Reną. Wszelkie ślady widocznie przysypał śnieg; świadczyło to jednak, że Janka wyszła jeszcze przed wschodem podczas silnej śnieżycy. Tu wiatr jest słabszy, dlatego nie odgarnął śniegu - pomyślał. - Wyżej kończy się osłona skał, zaczyna się strome, otwarte podejście, tam ślady powinny być jeszcze widoczne, jeśli tamtędy poszła. Jeśli nie wyszła nocą i nie spadła...

Zauważył, że wszyscy się pakowali, nie tylko babki. Męska ekipa szturmowa także przygotowywała się do wyjścia.

W kilka minut później trójka dziewcząt zniknęła w cieniu rzucanym przez skałę, aby za chwilę znaleźć się na stromiznie zalanej słońcem, która obłym uskokiem wychodziła wprost nad górną część lodowca.

- Stać! - wrzasnął. - Stać!

Zatrzymały się. Chłopcy ustawili się w szpaler - i ci ze szturmowej grupy, i ci co mieli pozostać. Za ich głowami ukazywały się dopiero głowy zostającej grupy dziewcząt.

- Pójdziemy razem - zawołał Robert już spokojniej - pomożemy wam.

- Nigdy - powiedziała Zuza. - Same wykonamy nasze zadanie. Nie wolno ci tego robić.

Dostrzegł pełne aprobaty potakiwanie kolegów. Byli po stronie dziewcząt. Tak wyglądała umowa zawarta jeszcze w kraju: one jako słabsze miały pierwsze atakować szczyt.

Wiedział, że to słuszne, ale wiedział jednak równocześnie, iż były ogromnie wyczerpane trudami wyprawy. Kulisi na skutek jakichś drobnych ambicjonalnych zadrażnień opuścili ich wcześniej niż to było umówione - trzeba było samemu taszczyć ciężki sprzęt.

Poczuł na sobie spojrzenia niechętnie, nawet wrogie. Pojmował że wszyscy oskarżają go, iż to on w gruncie rzeczy swoim wczorajszym bezsensownym zakazem zmusił Jankę do podjęcia ryzykownej decyzji. Przecież po to tu przyszli, tylko po to, żeby spróbować ataku na szczyt. Sam zaczynał mieć do siebie pretensje.

- Pozwólcie się tylko kawałek odprowadzić. Naprawdę kawałeczek. Przynajmniej mnie i Rudemu. Przyjaciół był już przy nim.

- No, pozwólcie - poparł Roberta.

Widzieli, że kierownik wyprawy się załamał. Babki bez słowa wkroczyły na szlak, zaczęły

go odmierzać powolnymi krokami, metr za metrem, powiązane liną. Zuza szła pierwsza, sondując żerdzią stan podłoża. Na tym odcinku możliwe było istnienie licznych szczelin, za to wspinaczki było mniej. Mężczyźni mieli trasę wyznaczoną na samej grani, piekielnie eksponowaną, ale bez szczelin i krótszą. Nie protestowały, gdy Robert z Leonem wysforowali się tuż za Zuzę.

Szlak był tu zupełnie zlodowaciały i twardy, cały spadły w nocy śnieg odwiało na lodowiec. Zaraz po wyjściu z głębokiego cienia ostrej grani wszyscy zobaczyli ślady. Ogromne, palczaste i głębokie. Jakby szła tędy cała grupa wielkich małp czy niedźwiedzi.

- Yeti...

Nikt z nich dotąd na własne oczy nie widział śladów śnieżnego człowieka, legendarnego bohatera naukowych hipotez i fikcji. Oglądali, owszem, wiele zdjęć ukazujących identyczny rysunek odbić stopy, ale w gruncie rzeczy nie wierzyli w istnienie istot, które miałyby takie ślady pozostawiać.

- Yeti, albo rozwalone ślady Janki - powiedział Rudy.

- Bzdura - Zuza była bardzo wzburzona. - Nic nie rozwaliliby tak ludzkich śladów. To Yeti.

- Fatamorgana.

- Może rzeczywiście ulegamy złudzeniu - Robert skrupulatnie filmował całe zdarzenie. Kamera na szczęście pracowała bez zakłóceń, tylko na tym mrozie szczękała trochę, jakby chodziła po łańcuszku.

- Może to i złudzenie - powtórzył i nagle poczuł, jak włos jeży mu się na głowie, jak oblewa go pot. - Ale nie widzę śladów Janki. Więc nie szła tędy? Wracajmy! - wykrzyknął miotany przerażeniem, pełną tragicznych przeczuć obawą o jej los.

Przystanęli nad śladami Yeti, które tworzyły gęsto porysowaną szeroką drogę i sto metrów dalej wyraźnie skręcały ku lodowcowi.

- We trójkę nie dacie rady - perswadował babkom jak najłagodniejszym głosem.

- Zuza, idziemy! - powiedziały dwie pozostałe chórem. - Idziemy bez względu na wszystko.

Rena wyszła na prowadzenie, wzięła z rąk wahającej się Zuzy jej długą żerdź i rozpoczęła marsz, pozostawiając na lewo ślady Yeti.

- Powodzenia! - zawołał Robert głosem pełnym rozpacz.

Babki pomachały rękami i szły równo, odprowadzane ich wzrokiem. Stali tak, dopóki ludzkie figurki nie zrobiły się małe jak mrówki.

- Za chwilę znikną - powiedział Robert - i tam za bułą powinny rozbić obóz.

Szczyt błyszczał w słońcu tak mocno, jakby spowity był zygzakami oślepiających błyskawic.

Wyprawa jadła spóźniony obiad w całkowitym milczeniu, nerwy brały górę nad opanowaniem. Robert powoli przeżuwał kęsy.

Był wstrząśnięty. Akurat te ślady Yeti, samotna wyprawa Janki i przekłety upór reszty babek. Wielu uczonych coraz śmielej głosiło tezę o śnieżnym człowieku jako o żywej skamielinie z czasów, gdy z kotła doboru naturalnego, zasilanego przyprawami mutacji - jak wyraził się jeden z badaczy - wyłonił się facet, który począł zostawiać za sobą groby: pierwsze widome znaki buntu przeciwko przyrodzie i jej prawom.

Tylko nieliczni twierdzili, że być może kudłaty Yeti jest zdegenerowanym potomkiem pierwszych istot z Kosmosu, które próbowały niegdyś zasiedlić gorącą i pustą Ziemię.

- Do diabła! - zawołał Robert do swego rudego przyjaciela. - Do kudłatego, jak ten Yeti, diabła! Widzę, że naszą wyprawę zmontowaną z takim trudem sami zniszczymy. Sami. Jutro zarządzam wymarsz. Atakujemy szczyt naszą drogą. Bez względu na pogodę.

Ten passus o pogodzie był niezwykle aktualny. Sypało już od jakiegoś czasu. Najpierw śnieg był drobny i ostry jak małe szpileczki, po chwili przesłonił cały świat.

- One nie dojdą - odparł Rudy. I my pewnie także nie dojdziemy.

- Przecież nie możemy wracać.

- Niech się więc spełni.

- Niech to diabli!

Drżącymi rękami Robert uruchomił połowę radiostację. Robił to zupełnie bez przekonania. Nie wierzył, żeby babki chciały się z nimi porozumieć. W dodatku nie miał pojęcia czy warunki w górach pozwolą na to. Obserwowali od pewnego czasu zaburzenia magnetyczne i to niekiedy tak potężne, że nawet na odległość kilkunastu kroków nawiązanie łączności stawało się absurdem.

Wystukiwał sygnał połączenia, nic nie wychodziło. Z cierpliwością, której nabył na dziesiątkach wypraw wysokogórskich, powtarzał tę beznadziejną czynność raz za razem. Gdy po godzinie bezskutecznych prób miał już wyłączyć aparat, usłyszał w słuchawkach wyraźne szcęknięcie i jasny, czyściutki głos Zuzy.

- Się masz, stary. U nas ledwo pada. Ale wy jesteście za mgłą. Nie ma was tam na dole?

- ! tak nie mogłabyś nas zobaczyć, nawet gdyby świeciło słońce, jak samopoczucie?



- Walimy jak w dym.  
- Uzywacie masek?  
- Próbuujemy nie używać, ale jest ciężko.  
- W twoim głosie nie słyhać zadyszki, wygląda na to, że wybrałyście się na spacer.  
- Odwaliłyśmy jednak kawał roboty. Zosia ledwo sunie. Kazałam jej włożyć maskę, ale jest nie...

W tym momencie połączenie urwało się i następne stukania nic już nie pomogły. Próbował jeszcze przez pół godziny. Potem wszyscy szybko pokładli się spać. Jeszcze czuwał, jeszcze podchodził do radia, aż Rudy wrzasnął: - Śpij, do cholery! Zarządziłeś jutrzejszy atak, to daj wypocząć.

Zażył więc, podobnie jak reszta, pigułkę, i byłby rankiem spał jeszcze długo, gdyby nie głośny sygnał radiowy.

Zerwał się półprzytomny, zawołał do mikrofonu:

- Co się stało?

- Jest słońce - usłyszał spokojny, jakby tylko trochę zachrypnięty głos Zuzy- i są Yeti.

Widzimy ich wreszcie. Wielkie owłosione potwory. Posuwają się raz na dwóch to znowu na czterech łapach.

- Zbliżają się? - pytał gorączkowo.

- Na razie nie. Sądzę, że dadzą nam spokój i będą nas z daleka obserwować. Ale chciałam, żebyś wiedział.

- Łatwo się połączyłaś?

- Od razu. Nie wiem co nam przerwało wczoraj, Janki nie widać. A potem chwila ciszy w słuchawkach i okrzyk.

- Stary! Jest Janka!

I znowu przerwa. Innego rodzaju. Wyglądało to na specjalne przerwanie połączenia. Zaskoczona na widok Janki Zuza porzuciła widać słuchawki i wyrwała łącze. Tak musiało być.

- Rudy!-Janka się znalazła!

Rudy dawno już zerwał się z posłania. Kłapa namiotu była uchylona. Nad przepaścią wesoło płonęło ognisko. Ani śladu po wczorajszej zawiei. Słońce, jeszcze straszliwie wielkie i chłodne, szybko dźwigało się nad horyzont.

- Chłopcy! - krzyknął - Janka jest już z nimi! Opowiedział, urywanymi zdaniem przebieg

całej rozmowy o Yeti wiedzieli już wszyscy od Rudego.

- Odwołuję wymarsz. Poczekajmy na babki. Dopiero, gdy one zejda, pójdziemy. Chyba, że trzeba będzie... na pomoc...

Całymi godzinami trwało milczenie. Chłopcy byli zdenerwowani i oczekiwali na jakąkolwiek wiadomość, wszelkie jednak próby nawiązania łączności spęły na niczym. Tak trwali do późnego popołudnia.

Wreszcie cienki chrobot sygnalizacji. Nerwowe nałożenie słuchawek. Wyznaczyli przecież nawet dyżury przy radiu.

- Szczyt, szczyt - rozległ się zduszony szept, szept który na próżno starał się przemienić w pełniejszy ludzki głos.

- Janka, to ty? - krzyczał do mikrofonu Robert.

- No, już- chrobot kilkakrotnie przerywał nieartykułowane dźwięki. Potem zabrzmiał ostry, jakby ze zduszonej krtani wydawany okrzyk. ! połączenie się przerwało.

Dopiero wieczorem roztrzęsiony Robert usłyszał lakoniczną ale radosną wiadomość.

- Kto zdobył? No, mówże! Kto?

- ja i Zuza - odparła Janka i natychmiast się wyłączyła.

Musiała być zupełnie skonana. Mimo śnieżycy i przenikliwego zimna cała męska ekipa długo jeszcze wiwatowała. Tylko Robert wydawał się przygnębiony.

- Stary, zazdrościsz im?

- Nie, tylko jest w tym wszystkim dla mnie coś niejasnego.

- Przesadzasz.

- Nie przesadzam. Po pierwsze: skąd wzięła się tam Janka po zniknięciu z naszej bazy? Już wiemy na pewno, że sama nie próbowała zdobywać szczytu. Byłby to zresztą idiotyzm.

- Rzeczywiście - dodał Rudy. - Co ona robiła przez ten czas, gdy jej ekipa dochodziła do nowej bazy?

- Nie tylko to mnie dziwi - dodał Robert, pocierając czoło. A sprawa Yeti? Teraz, gdy już po wszystkim, nie powiedziały ani słowa na ich temat.

- Może Yeti zniknęły. A może ich w ogóle nie było. Wiesz, to mogło być tylko złudzenie.

Robert przytaknął. Istotnie, tak być mogło. W powolnym potwornie męczącym marszu wśród lodów, na tych zatykających dech wysokościach miewa się halucynacje a nawet nagłe, chwilowe utraty świadomości. Jednak meldunek o zdobyciu szczytu nadany był głosem

spokojnym, czystym. Czaił się w nim jednak jak gdyby lęk przed opowiedzeniem wszystkiego. Było małe zacięcie, i to szybkie wyłączenie aparatury... I znowu próby nawiązania kontaktu nie dawały rezultatów.

- To dziwne - mówił Robert. - Skąd ta niechęć babek do wyjaśnienia sytuacji? Czemu to robią, teraz, po zwycięstwie?

W nocy żaden z nich nie mógł zasnąć, A nad ranem z pierwszym słońcem babki zjawiły się już koło namiotów. Sprawne, wypoczęte ale bez oznak wielkiej radości.

- Na was kolej - były to pierwsze słowa Janki.

Jej relacja była ogromnie lakoniczna. Trafiły podobno na znakomitą pogodę, trasę miały prawidłowo wyznaczoną, kondycja dopisała.

- A ostatni zryw?

Janka spój rżała jakby wystraszonym wzrokiem na Roberta.

- No, cóż - odpowiedziała. - Doszłam z Zuzą, zatknęłam sztandar i koniec. Byłyśmy tam z pół godziny.

- A Yeti?

- Widziałyśmy ich tak, jak was widzimy.

- No i co?

- I nic.

- Robiłyście zdjęcia?

- Nie chciałyśmy ich drażnić. Zostawcie nas teraz, dajcie wypocząć. Bo w razie potrzeby nie zdołamy wam w niczym pomóc.

Była w tym stwierdzeniu i chęć pozbycia się rozmówców i wyzwanie. A także triumf... Jasne, one już mają to za sobą.

Od rana, z pierwszymi promieniami słońca parli granią ku podszczytowej platformie. Szczyt sypał skrami, chrzęścił śnieg, suchy jak pieprz. Znowu nie było śladu niepogody. Błękitne niebo. Wymarzony czas do wspinaczki.

Podejście było trudne, stromizna mocno nachylona, wokół twardy nie ustępujący bolcom śnieg, po którym każdy nowy krok zdawał się kosztować kawałek oddechu. Zatykało w gardle coraz częściej i coraz głębiej. Pierś wypinała się, pęczniała, usta chwytały rozrzedzone powietrze, którego z każdą chwilą brakło coraz bardziej. Więc ruchy klatki piersiowej stawały się szybsze, trzepoczące a jej napięcie rosło i rosło. Zdawało się, że człowiek pęknie po każdym nowym kroku.

Ale wspinaczka przebiegała sprawnie. Ludzie dławili się, stawiali powoli kroki, rozsadzało im piersi, serce już nie łomotało ale grzmiało przyśpieszonym, rozpaczliwym rytmem.

Pochyleni, podpierający się czekanami, pełni emocji szli równo, z ogromnym opanowaniem.

Zaraz za pierwszym załomem skalnym, gdy z ogromnego granatowego cienia wychodziło się na oślepiający blask, dojrżeli Yeti. Wielkie białe i czarne futra odcinały się wyraźnie na tle połyskujących jeziorów lodowcowych. Twarzy nie było widać, bowiem słońce oświetlało od tyłu tylko ciężkie sylwety - to nieruchomiejące, czujne, to znowu posuwające się mocnym, rytmicznym krokiem ledwo zginanych łap.

- To nie może być halucynacja - myślał Robert. Milczał jednak, podobnie jak wszyscy. Obecność olbrzymów budziła mimowolny niepokój.

- To nie może być złudzenie- powtarzał sobie w myślach. Wolał, żeby to była rzeczywistość, chciał uwierzyć całym sercem w swoje siły i siły swych kolegów. Tylko to teraz było im potrzebne - mieć mnóstwo sił i wytrwać w

- Ukochany z księżycą zamiarze zdobycia szczytu Reszta się nie liczyła. Stanowiła tylko miarę opanowania, była próbą wytrzymałości nerwowej, najważniejszą z prób.

Nie patrzyli na zegarki Szli, a Yeti to znikwały, to znowu 'znienacka pojawiały się za lodowcem, jakby wychodziły z połyskliwych ścian skalnych skutych śniegiem i lodem.

Mimo woli ekipa przyśpieszała kroku. Jeszcze nie czuło się kłującego bólu w piersiach, powodowanego niedostatkami tlenu, ale ten ból tkwił gdzieś w pobliżu, czaił się, aby nagle wybuchnąć z potężną siłą. Postanowili odpocząć.

Nie chcieli nakładać masek tlenowych. Zapas tlenu mieli niewielki, nie można się było przecież zbyt obciążać. Chowali zapas tlenowy na czarną godzinę, w duchu postanawiając sobie użyć go tylko w ostateczności, nie wspomagając prawdziwie sportowego wyczynu osiągnięciami techniki.

I nagle jeden z młodszych kolegów, który szedł dotąd doskonale i bez słowa skargi, osunął się na ziemię.

- Duszę się - wykrztusił.

Robert pomagał nałożyć mu maskę, otworzył zawory. Ale chłopak nie mógł sam się podnieść. Wzięli go pod ręce i tak go prowadzili a raczej wlekli, w trudniejszych miejscach podając sobie zwiotczałe, osłabłe ciało z rąk do rąk. A więc zdarzyła się i taka niespodzianka.

Dochodzili już do polany, gdzie zaraz zaczęli szybko rozbijać obóz. Robert wydał rozkaz wypoczynku. Stan młodszego kolegi budził prawdziwy niepokój. Chłopak był siny, puls miał ledwo wyczuwalny i słabł z każdą chwilą. Ułożyli go w namiocie, bez przerwy podając tlen. Wciąż jednak nie przychodził do siebie. f

- Musimy się rozdzielić - powiedział Robert. Zwrócił się niemal błagalnie do Rudego: - Zostaniesz tu z nim? - ledwo odważył się zapytać.

Rudy wahał się długo.

Patrzyli na niego. Czekali.

- Zostanę.

Odetchnęli z ulgą.

Pozostały im jeszcze dwie godziny do wyznaczonego na ostatni etap przed szturmem miejsca na małej półce skalnej. Niespodziewanie odezwał się drugi młody człowiek, przyjaciel chorego.

- Ja także zostanę.

Otwierał usta, żeby usprawiedliwić tę decyzję, ale nic głośno więcej nie powiedział.

- Dobra- rzekł Robert.

Poszli szybko, bez pożegnania - we dwójkę. Całą sygnalizację w razie jakiejś wpadki mieli dokładnie zawczasu ustaloną. Nie trzeba nic mówić. Iść i wykonać swoje. Dwie godziny piekielnie trudnej drogi, zmrok począł zapadać w' najniebezpieczniejszym stadium wyprawy. Opóźnili się niewiele, przez chorego, ale to spóźnienie mogło ich bardzo dużo kosztować. Zdawali sobie z tego w pełni sprawę.

Bez masek jednak nie udało się im dojść.

Z lubością wdychali oszałamiające dozy tlenu. Czuli się jak pijani, kiedy wreszcie wspięli się ostatkiem sił na wąską półkę i ustawili na niej mały zgrabny namiot. Zasnąć nie mogli. Noc wydawała im się całym, nazbyt długim życiem. Przypominali sobie fragmenty dzieciństwa, potem przyszła kolej na twarze bliskich i krótkie z nimi rozmowy, potem poczęli przeżywać skoki w przepaść, bieganie po wąskich wałących się mostach, pojawianie się i znikanie, najczęściej tragiczne znikanie bliskich, z którymi nie chcieli się rozstać. Mieli wrażenie nagromadzenia w swoim krótkim śnie - wiedząc, że to sen - wszystkiego, co najgorsze- w życiu, i choć wiedzieli, że to sen, cierpieli jakby był rzeczywistością.

Robert zerwał się pierwszy. Nie dlatego, że się otrząsnął z koszmaru - chciał być pierwszy.

Kolega leżał z oczami otwartymi, wytrzeszczonymi z przerażenia. Nieruchomy, jakby sparaliżowany. Kłapa namiotu była otwarta. Wdzierający się śnieżny blask otaczał ogromny futrzany łeb.

Potem strącony futrzaną łapą kaptur odchylił się w tył. Robert odczuł to jak samooskalpowanie się potwora. Odsłoniła się twarz bardzo ludzka ale zarazem trupia: skóra szara jak popiół naciągała się na kościach czaszki, tak jakby nie potrafiła, nie chciała ich zakryć. Wstrząs którego doznał Robert, stawał się obsesją. Nie dał się odrzucić jak senny koszmar, trwał. Zawsze trwał i zawsze będzie trwać - pomyślał Robert. Stało przed nim jego odbicie, jego lustrzane odbicie. -Jak gdybym umarł i zmartwychwstał - pomyślał z rozpaczą.

Yeti powiedział:

- Chodź! No, ty, chodź ze mną.

Z niesamowitą siłą wyciągnął Roberta z namiotu, unosząc go w swych potężnych łapach jak piórko. Za chwilę inny Yeti w ten sam sposób holował drugiego uczestnika szturm na szczyt.

- Chodź, chodź - mówił tym samym, co Yeti niosący Roberta, mechanicznym, wyuczonym głosem. Głosem starego, zdartego patefonu. I tak samo jak prześladowca Roberta podobny był niesamowicie do alpinisty, którego niósł,

- Weź to - powiedział Yeti do Roberta, obrośniętym paluchem pokazując banderę.

- To każdy bierze - dodał siląc się na uśmiech. Polegało to na zmarszczeniu napiętej do ostateczności skóry wokół oczu i ust.

- Kim jesteście? - wyjąkał Robert, I doskonale zdawał sobie sprawę, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi.

Potwory z oskalpowanymi czaszkami szły pod górę wolnym ale równym krokiem, potem już w pobliżu szczytu wydawało się, że wznoszą się razem z porwanymi przez siebie ludźmi na jakiejś niewidzialnej platformie.

Robert nazwał to w myślach jazdą magnetyczną windą.

- Przekroczyliśmy jakiś próg w życiu, którego normalny człowiek nigdy nie przekracza. Czy dzieje się to naprawdę, czy jest tylko majaczeniem ginących - trudno odgadnąć. Być może - dodawał sobie otuchy - to istnieje naprawdę i choć jest niezmiernie dziwne a przez to straszne, w gruncie rzeczy stanowi najbardziej optymistyczny akcent naszej wyprawy. W legendarnych Yeti rozpoznajemy istoty inteligentne, operujące techniką inną od znanej nam

- uczą się mówić naszym językiem i naśladujące wyraźnie nasz wygląd. Obchodzą się

przy tym z nami jak z czymś niezwykle delikatnym, noszą nas, hołubią, przyciskają do piersi, wiozą windą, chronią od zguby, akceptując równocześnie nasz ideał honoru. Widzą, że chcemy zdobyć tę przeklętą górę i pomagają nam, nie zdając sobie jednak sprawy, że w ten sposób narażają nas na klęskę najgorszą z możliwych. Ułatwiając nam nasze honorowe zadanie, odbierają cały sens naszej wspinaczki. Całemu dotychczasowemu życiu - pomyślał, i znowu zapytał w tej niewygodnej dziecięcej pozycji, pozycji niemowlaka na rękach matki, podnosząc głowę, jak mógł tylko najwyżej:

- Czy naszą żeńską ekipę też tak wnosiliście?

Oczywiście znowu nie było żadnej odpowiedzi. Nie wiadomo, do jakiego stopnia stwory opanowały język. Widać było jednak z ich krótkich odezwań, że już niejednej ekipie pomagały windować się na szczyt.

Kiedy winda magnetyczna - tak to określał Robert - wyniosła całą czwórkę na wąski szpic połyskujący w bardzo złodowaciałym śniegu, rzuciła się natychmiast w oczy bandera osadzona tu przez babki.

Stwory puściły swoich podopiecznych. Ruchami łap zachęcały ich do osadzenia nowej chorągwi.

- Hej, hop! - powiedział Yeti podobny do Roberta.

- Ej, rup! - dodał drugi, sobowtór kolegi szefa wyprawy. A widząc, że żaden z alpinistów nie kwapi się do tej czynności, że są zaskoczeni sytuacją, sami zaczęli przymocowywać maszt z płótnem.

- Bravo! - krzyknęli obaj, gdy chorągiew załopotała na wietrze.

Po chwili zaczęli się szamotać. Przypadli do Roberta i niedołącznymi ruchami wielkich łap starali się mu coś wytłumaczyć czy wyrwać z rąk.

- O co chodzi? - alpiniści spojrzeli po sobie.

- Bum, bum - mówił sobowtór Roberta.

- No, bum, bum - dodał drugi.

Wtedy dopiero Robert zorientował się. Yeti domagali się najwidoczniej nadania radiogramu o zwycięstwie do reszty załogi.

Podczas szamotania radiostacja została uruchomiona i na pewno odbierający usłyszeli okrzyk Roberta. Podobny okrzyk - przypomniał sobie Robert wydała Janka na szczycie, gdy się połączyła na krótko, sztucznym głosem meldując o sukcesie babek.

- Ach, to ty Janka - powiedział po swoim okrzyku Robert.

- Właśnie. Jesteście napewno na szczycie?

- Jesteśmy.

- To fajno.

Mówiła to tonem zgaszonym. Gratulowała bez najmniejszej radości. Tak samo, jak bez zadowolenia donosiła o swoim zwycięstwie. A więc i one musiały przeżyć to samo, co my - pomyślał Robert. Szybko wyłączył radio.

- Schodzimy - zawołał do kolegi.

Byli bez masek. Dopiero teraz uświadomili sobie, że na tej wysokości oddychali jak gdyby nigdy nic.

Stwory nie pozwoliły im na najmniejszy wysiłek. Znowu pochwyciły ich w ramiona jak dwóch niemowlaków, przytuliły do owłosionych piersi i, nie wiadomo w jaki sposób, uruchomiły windę magnetyczną. Cała czwórka zjeżdżała powietrzem obok szczytu z zadziwiającą prędkością i lekkością. Było to coś w rodzaju lotu.

- Brawo - powiedziały stwory wkładając obydwu do namiotu. Brawo. Bum, bum.

Wtedy właśnie Robert podjął decyzję. Pierwszą rzeczą, którą zrobią po powrocie na dół, będzie rozmowa z Janką w cztery oczy. Zapropnuje jej wspólną wyprawę na ten szczyt, jeszcze raz. Niespodziewanie pójdą tam we dwójkę, ażeby sprawdzić czy Yeti to wówczas zauważą, i czy jeszcze raz podejmą próbę pomocy.

To będzie badanie, badanie rzeczywistości - myślał sobie Robert - muszę wiedzieć jak to jest naprawdę, jeśli w ogóle jest naprawdę.

Następnego dnia w znakomitej formie, mimo wzmagającej się śnieżycy, zeszli do kolegów. Yeti poczęły znowu znikać i pojawiać się wśród okrytych śniegiem skał i oddalały się coraz bardziej.

- Janka - to były pierwsze słowa Roberta, gdy zszedł z całą grupą do dolnego obozu - muszę z tobą ustalić dalszy program wyprawy.

- Myślałam już o tym - odparła.

- Zostawcie nas samych - poprosił Robert.

Zasiedli oboje w namiocie, patrzyli na siebie i żadne nie chciało zagadać pierwsze. A potem zaczęli gwałtownie szeptać jedno przez drugie. Był to dialog o klęsce. W gruncie rzeczy nie obchodziło ich kim są Yeti - przybyszami z przestrzeni pozaziemskiej, z obszarów



pozagalaktycznych, żywymi skamielinami zachwyconymi tym, co po nich stało się człowiekiem, czy też może odbiciami żywych istot w strefie jakiejś wielkiej anomalii magnetycznej.

Dopiero później, grubo później, któryś z młodych badaczy historii tej wyprawy miał zawołać na jednym z zebrań, przerywając czyjś bardzo uczony wywód.

- A może jest trzeci stan istnienia? Poza życiem i śmiercią może przecież egzystować taka postać żywej, najwyżej zorganizowanej materii, która nie jest ani tym co w naukowym i potocznym znaczeniu uważamy za życie, ani jego absolutnym końcem czyli śmiercią. Może można być nie żyjąc ani nie zmartwychwstając? Czyż materialne bytowanie nie może organizować się w jakieś zupełnie inne od znanych nam i opisanych form? W formy poznawalne dla nas tylko w pewnych warunkach?

Zakrzyczano go.

- Słuchaj - powiedział Robert po zrzućeniu z siebie całego balastu przeżyć z ostatnich kilkudziesięciu godzin - wychodzimy po cichu, jutro nad ranem. Jeśli nie wrócimy, jestem pewien, że nasi koledzy, którzy orientują się w tym co Yeti z nami zrobili nie puszczą pary z gęby. We własnym interesie.

Nie była to jednak cała prawda.

Gdy zbadano tę sprawę później i to dokładnie, z tą dokładnością na jaką stać naukę, ogłoszono, że chodziło o wyraźną zdradę ziemskich interesów, jakiej mieli się dopuścić kierownicy wyprawy. Przeszli na stronę dziwaczych stworów, zadziwiająco podobnych do legendarnego człowieka śniegu.

Na razie jednak zapadła ta gwałtowna górską noc, kładąc swoją ciężką, zimną łapę na wszystkim co żywe, co dotarło do tej wysokości. Przed świtem, gdy ekipa już bardzo mocno spała (tak przynajmniej się wydawało) Janka z Robertem opuścili wśród śnieżycy obóz i spokojnie, szlakiem babek, wydostawali się na pierwszą platformę. Tym razem już na początku włożyli maski. Nie chcieli tracić ani krzty sił. Chcieli sprawdzić, czy im się uda.

Śnieżycza rzedła: już tylko drobne białe kreski przecinały granatowe, coraz mocniej iskrzące gwiazdami niebo.

Nie odzywali się do siebie. Poruszali się szybko, dając z siebie wszystko. Pragnęli zdążyć przed świtem na platformę a potem, nie wypoczywając, podjąć próbę zdobycia szczytu. Bez niczyjej pomocy.

Ale gdy tylko rozłożyli namiot, żeby odpocząć choćby na godzinę, już podeszły do nich

dwie ogromne postaci w futrach. Robertowi znowu zjeżyły się włosy pod kapturem. Jeden z Yetich był wyraźną jego kopią, drugi sobowtórem Janki. Zaczęły się bezowocne próby nawiązania kontaktu.

Janka błagała, żeby ich pozostawiono w spokoju, że chcą tylko dotrzeć do szczytu a teraz po prostu wypocząć, bo są bardzo zmęczeni. Robert gestami dramatyzował te próby porozumienia. Oba Yeti uśmiechały się swymi sztucznymi uśmiechami, kiwały nagimi bezwłosymi jakby oskalpowanymi łbami, gdyż na widok ludzi zrzuciły z czaszek swoje ogromne czupryny i jak kaptury opuściły je na plecy.

Scenę tę obserwowała przez lornety niemal cała ekspedycja; dogadano się po cichu, i za Robertem i Janką wyszli ludzie gęsiego, trzymając się stale w przyzwoitej odległości. Yeti na szczęście nie było w pobliżu i nikt im nie przeszkadzał.

Widzieli jeszcze, jak Robert z Janką wyciągają ręce na dół w kierunku obozu, jakby pokazując Yetim drogę, jak tłum Yetich pojawił się na skałach tak nagle jakby wyszedł z ich wnętrza i w ciężkich podskokach skierował się ku głównemu obozowi. W tym tłumie zarówno Janka, jak i Robert zniknęli. Dopiero po chwili zauważyli ich twarze - zbielewały jak gdyby z przerażenia, postarzały i zmęczone, okolone futrami identycznymi z łbami Yeti. Janka i Robert na czele tłumy potworów poczęli szybko zbliżać się do ekspedycji.

Nadchodzący ludzie zatrzymali się przerażeni! Poczuli wate w nogach, ale mimo to poczęli uciekać, uciekać, za wszelką cenę uciekać...

Tak potem ci nieliczni, którzy ocaleli, przedstawiali dramat, jaki rozegrał się w górach. Uciekali, gonieni przez Yeti, wychwytywani i zrucani ze skał. Tylko cudem kilku udało się ująć pogoni.

- Dokąd oni was tak gonili?- pytał słynny uczony profesor van den Berg, twórca teorii o pozaziemskim pochodzeniu Yeti.

- Trudno to wyjaśnić - odparł Rudy. - Byliśmy półprzytomni a potem długo leczono nas w szpitalu. Wydaje mi się, ale nie wiem, czy to nie był sen lub halucynacja, że ostatniego Yeti widziałem jeszcze właśnie w naszej sali szpitalnej. Otworzył drzwi nad ranem, gdy słońce już dobrze rozjaśniło okna.

- I co, co pan jeszcze pamięta?

- Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że to był Robert. Nie mogłem się pomylić, to był Robert, a za nim na pewno starała się wejść do naszej sali Janka. Więcej nic nie wiem, chyba

straciłem wtedy przytomność.

- Pańscy koledzy nic o tym nie mówili, służba szpitalna też nie dostrzegła nikogo.

- To nieprawda - odparł na to Rudy. - Moja koleżanka Zuza zwierzyła mi się w tajemnicy, że tej samej nocy, a raczej tego samego poranka zdawało jej się, iż zobaczyła Roberta i Jankę. Wchodzili do sali kobiecej.

- Byli w postaci Yeti?

- Nie, panie profesorze. Ona twierdziła, że byli całkowicie ludzcy.

Po rozmowie z członkami ekspedycji i po dalszych badaniach bardzo ostrożnie podjętych w terenie, na którym przebywała ekspedycja, profesor opublikował artykuł. Spotkał się on z bardzo ostrymi atakami różnych przedstawicieli nauki.

Artykuł zaczynał się od słów:

„Nabieram coraz bardziej przekonania o początkach inwazji istot, które pojawiły się na naszej planecie w postaci 'tzw. człowieka śniegu. Forma tej pierwszej inwazji obcych przybyszów z innych układów słonecznych wydaje się nam bardzo dziwna. Wszystkie fakty dotąd zebrane są niepewne. Ale dlaczego mamy tę sprawę niezmierną mierzyć naszymi ziemskimi zjawiskami i obyczajami? Boję się, że jeśli spotkamy się oko w oko z tymi istotami, ani one nas, ani my ich nie zdołamy zrozumieć. Wzory matematyczne i sygnały, jakie zaczęto w ich kierunku wysyłać przekonają ich tylko o tym, co już dawno muszą wiedzieć: o stopniu zaawansowania naszej cywilizacji. Reszty chyba nigdy nie zdołają się dowiedzieć. Ani my o nich wszystkiego, co w nich najważniejsze także.

Nauczyliśmy się bowiem (i nie potrafimy robić tego inaczej) sądzić wszystko, co żyje według podobieństw. Różnice między jednostkami i społecznościami ciągle są nie zbadane, a przecież to one stanowią o osobowościach i cechach społecznych czy narodowych. Nic jednak o tym nie wiemy. Jakże dowiemy się, na czym polega indywidualność Yeti?

A więc przyznaję, iż obawiam się najbardziej ciągłej słabości nauki.

## **ŁAZARZU, WSTAŃ**

Przekonałem się, że z dużym wysiłkiem skonstruowana aparatura, nad którą już w ostatnich dniach przed uruchomieniem ślęczałem niemal bez wytchnienia, jest zupełnie nieprzydatna, jeśli nie wzbudzi się w sobie potężnej pasji zobaczenia bliskiej istoty.

Nie chciałem od razu zacząć od ludzi. Budziło to moje opory, zażenowanie, a nawet

rodzaj strachu. Próbowałem więc ustawić najpierw w laboratorium wizerunki zwierząt, ale okazało się, że tak zaaranżowane doświadczenie nigdy się nie udaje.

Początkowo kupowałem koty, umieszczałem je w domu, bawiłem się z nimi przez kilka co najmniej dni. Następnie oddawałem je do uśpienia. Wcześniej wykonywałem ich zdjęcia, żywych, igrających, szarżujących na zaimprovizowane myszki. Fotografia była moim dawnym hobby. Zarówno kolorowa jak i trójwymiarowa. Koty wyglądały na zdjęciach jak żywe, tylko nagle znieruchomiały. Pomyślałem sobie wówczas, gdy podczas pierwszych seansów nic się nie działo, że jeden z moich najwcześniejszych, przypadkowych eksperymentów musiał być chyba zwykłą pomyłką a cała koronkowa teoria nadawała się na złom.

Więc spróbowałem filmować. Na odcinkach filmu - trójwymiarowego, holograficznego - moje koty skakały

niemal naprawdę po laboratorium. W ciemności wyłonił się ze skrzyżowania wielu nakładających się na siebie pęczków światła laserowego wrażenie życia potęgowało się. Stawało się drugą nieodpartą rzeczywistością.

Efekt, którego się jednak spodziewałem nie następował. Wtedy dopiero postanowiłem zrobić doświadczenie z przyjacielem. Doświadczenie, o którym marzyłem i o którym myślałem z lękiem, już pierwsze próby dawały ułamkowe ale niezwykle efekty. Miałem wspólne zdjęcia z Robertem z ostatniego rajdu, w którym już po raz piąty byłem jego pilotem. Wspaniałe, kolorowe obrazy wykonali zawodowcy. Plastikowe, podświetlone, stwarzały złudę prawdy, a przede wszystkim ogromnie angażowały uczucia.

Wtedy dopiero zacząłem rozumieć, na czym polega luka w mojej teorii. Pełna emisja najkrótszych mikrofal naszych ciał następuje wówczas, gdy przeżywamy silny stres. Może on być wywołany jakimiś bodźcami zewnętrznymi, powstawać na skutek bólu fizycznego czy rozkoszy fizycznej, mogą go także ewokować silne przeżycia wewnętrzne: strach lub radość, miłość i nienawiść, wspomnienie, tęsknota. Gdy nasilenie promieniowania mikrofalowego według mojej tabeli osiągnie maksimum, dopiero wówczas zaczynają działać z całą mocą odbiorniki mikrofal w mojej aparaturze, co przy odpowiedniej koncentracji żywej materii musi doprowadzić do oczekiwanego efektu. Musi.

Straciłem zupełnie głowę, byłem jak oszalały, dostrajałem aparaturę, doбираłem zdjęcia. Pierwszy raz udało mi się uzyskać spotkanie z Robertem trwające dwie czy trzy sekundy. Byłem tak podniecony, że zapomniałem o włączeniu licznika czasowego. Dopiero wczoraj dopasowałem

do aparatury najczulszy z osiągalnych obecnie czasomierzy kwarcowych, wcale - nawiasem mówiąc - w takich przypadkach niepotrzebny. Przecież nie chodziło mi o rekordy długości tych spotkań, lecz o nie same: o to, żebym Roberta zobaczył żywiuteńkiego, żebym mógł mu uściskać dłoń i zamienić z nim kilka najszczerzych słów.

Ta szczerość była moim największym marzeniem. Ani słowa o tej fazie doświadczeń nie powiedziałem Elżbiecie. Przede wszystkim nie chciałem rozdrapywać jej ran. Jeszcze były zbyt świeże. Bałem się także konfrontacji w jej obecności.

Wpatrując się w nasze wspólne zdjęcia wykonane przed wyruszeniem na ten tragiczny etap rajdu, czułem się tak, jakby to było wówczas. Elżbieta z prawej strony, pochylona tuż nad moją twarzą, słodka w swej niezwykłej czułości i delikatności, całująca, tak jest - całująca wyciągniętą prawą dłoń mego przyjaciela Roberta. Nie było we mnie wtedy ani odrobiny zazdrości; minęły już wcześniej wielkie rozczarowania i rozterki.

A przecież to ja ich poznałem. Miałem się wkrótce ożenić z Elżbietą, nasze wzajemne uczucia nie były może zbyt mocne, lecz wydawały mi się trwałe. Spokojne i trwałe, tak zresztą je określaliśmy. Robert wiele podróżował, brał też udział w Rajdzie Transamerykańskim, a ja niejako korzystając z tej jego nieobecności - już wówczas rozpoczynałem swoje pierwsze doświadczenia. Teoria była już gotowa, a aparatura przechodziła pierwsze próby. Nie lubiłem zresztą wielkich, długich rajdów w rodzaju Safari czy Trans-amerykańskiego. Zupełnie wyczerpywały mnie nie tylko fizycznie, ale także i psychicznie, a ja opętany swoim pomysłem nie chciałem tracić na nie ani sił, ani zapału. Uważałem, że nie mogę sobie na to pozwolić.

Elżbieta była podobnego zdania. Przy niej, delikatniutkiej i niezwykle spokojnej, no, powiedzmy na razie zupełnie opanowanej, spodziewałem się wykonania wielu niezwykłych doświadczeń w swoim laboratorium, zwłaszcza, że mogła mi pomagać, mając po temu odpowiednie kwalifikacje: studiowała fizykę na UJ, który naprawdę wychowuje ciągle jeszcze jakby rozpędem swej wielkiej tradycji znakomitych specjalistów. To znaczy speców o bardzo szerokich horyzontach, czego niestety nie potrafią robić nasze politechniki.

Gdy Robert wrócił z Transamerykańskiego ze swoim pierwszym miejscem w najwyższej klasie (startował na naszym PGR 2000), poznał Elżbietę w moim laboratorium i wówczas spokojna i opanowana dziewczyna oszalała zupełnie na jego punkcie. Nie znoszę tego okresu swego życia. Stanowi on wyjątkową zadrę. Moja narzeczona łączy się nagle z moim przyjacielem, a ja zostaję sam, prawie zupełnie nie dostrzegany w tym gronie. Czy to do pomyślenia, do przyjęcia? Kto wie,

czy ta moja przegrana nie popchnęła mnie do jeszcze większej intensyfikacji badań. Chęć wzięcia odwetu na bliskich, odwetu wyrażonego rozgłosem i sławą, na pewno odegrała niezwykle ważną rolę. Pozwoliła mi przetrwać załamanie i nie stracić ich obojga. Ja ich naprawdę bardzo kochałem i Kocham. Pozwoliła mi także na rozwinięcie wynalazku.

Zdjęcie. Ściana jak gdyby otwarta na kolorową perspektywę szosy. Elżbieta całuje w rękę Roberta. Moje serce już wówczas nie reaguje na to, już jest uspokojone.

A Robert?

Uchwycono nas w momencie, kiedy patrzyłem na niego, a nie na Elżbietę, jakby zdziwiony nie formą jej pocałunku lecz tym, że składa go na rękę właśnie jego, Roberta. Hełmy mieliśmy wtedy jeszcze opuszczone na karki, włosy świeżo przyczesane. Patrząc na Roberta w tym momencie powiedziałem to, co i ona słyszała doskonale:

- Chcę żebyśmy wygrali. Musimy wygrać.

Traktowałem rajd jak relaks przed głównymi aktami mojej pracy. Potrzeba mi było relaksu i wspólnej z Robertem wygranej. Nawet z nim.

- Znasz punktację lepiej niż ja - odparł Robert. - Bądź tylko uważny, pójdziemy na całego.

- Pójdziemy na całego. Dobra.

To była właśnie ta chwila. Wpatrzyłem się w fotografię i wpadłem w nastrój tamtego dnia, jakby to było dzisiaj, teraz. już. Nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie w tym momencie nasilenie mikrofal osiągnęło apogeum.

Włączyła się cała automatyka aparatury. Wrażenie było straszliwe, wstrząsające.

Robert zniknął ze zdjęcia. Zdjęcie jak gdyby przestało istnieć. On sam natomiast siedział po prostu koło mnie. Żywy, prawdziwy. Wyciągnął do mnie rękę na powitanie. Oddałem uścisk, i padłem mu w ramiona, ściskaliśmy się.

I zaraz wszystko się skończyło.

Nie śmiałem go zapytać. Byłem tak przerażony i podniecony, że o nic nie chciałem i nie potrafiłem go indagować.

Pokazało się znowu nasze zdjęcie, już obce, już zbiektywizowane. Nie wywołujące właściwie żadnych silniejszych wspomnień: tamta chwila jak gdyby zaginęła. Czy zdołam ją odzyskać? - myślałem, roztrzęsiony i, co tu dużo gadać, rozczarowany własnym wynalazkiem. Wystarczyła sekundowa przerwa w mojej pasji aby aparatura zacięła się.

A miałem już przecież w ramionach nieżyjącego przyjaciela, ciepłego, dyszącego radością

i przyjaźnią, i znów go nie mam, ponownie stał się nieuchwytny.

Widziałem go znowu. Wydobyłem inną, tym razem białoczną, płaską fotografię, zrobioną przypadkowo przez początkującego amatora, który znalazł się właśnie na trasie rajdu. Spojrzałem. Wielkie świerki na stoku, fragment krętej wąskiej drogi na górze, a na pierwszym planie z rozwaloną na pół czaszką przechylony przez okno naszego wozu Robert. Zналиśmy obydwaj tę trasę na pamięć. Zналиśmy.

Szczęknął automat aparatury, rozległ się lekki szmer. Wpatrzony w ostatnią pozę Roberta, znowu zobaczyłem go znikającego z ekranu i zjawiającego się koło mnie. Szedł do mnie z wyciągniętą dłonią blady, jak gdyby przeczuwający, że za chwilę... Ach, cóż ja plotę.

- Robert! - krzyknąłem - powiedz, powiedz, co ty o tym naprawdę sądzisz.

Drżałem na całym ciele. Jego słowo miało dla mnie wagę wyroku. Dojeżdżaliśmy do trzeciego zakrętu tej wielkiej pętli, mieliśmy trzydzieści sekund spóźnienia w stosunku do naszych rywali Austriaków. Straciliśmy je na prostej terenowej drodze, gdy wyprzedzaliśmy dość ryzykownie parę brytyjską.

- Pamiętam - powiedział Robert kładąc mi dłoń na ramieniu - krzyknąłeś wtedy: uważaj!

- Tak, krzyknąłem - powiedziałem, oddychając z ulgą.

Wóz prześlizgnął się po śniegu milimetry od brytyjskiego Rovera i w tym momencie nastąpiło wskutek maleńkiego poślizgu gwałtowne, ostre zetknięcie się boków obydwu wozów. Zgrzyt tartych blach, trwający ułamki sekund. Obydwa wozy rozjechały się. Brytyjczyków rzuciło pod stok, wymknęli się stamtąd i powolutku posterowali ku zakrętom. Nasz wóz natomiast zawisł nad przepaścią. Wyskoczyłem i zacząłem spychać go ku środkowi szosy. Szklanka była jednak taka, że jechałem na podszwach butów.

Koła buksowały. Robert także wysiadł, spocony ze zmęczenia, taki sam jakby był teraz tu, koło mnie. Pół wisząc, pół odbijając się od grud na skraju szosy, pomagał mi pchać. Właśnie wtedy minęli nas rywale: z daleka od zakrętu dodali gazu i z wyciem wpadli na jakiejś setce w wielką krzywiznę, podrzuciło ich ku drzewom z prawej strony, ale tam grunt nad szosą piał się do góry, odbijając się więc lekko od tej stromizny - zniknęli. Słysząc było, jak ze zgrzytem wchodzi w następny zakręt.

A my ciągle nie mogliśmy sobie poradzić z wyprowadzeniem wozu na środek szosy. Wtedy Robert krzyknął - wskakuj! - a sam był już w środku, już naciskał gaz. Silnik wył na wysokich obrotach, jedno koło sterczało nad przepaścią, ale nagle wóz ruszył i już byliśmy przy pierwszym

zakręcie.

Dodał gazu, zarzucił tylne koła na prawo aż wyskoczyły na ten pochyły stok i odbił.

Wprowadził wóz tuż pod skałą w następny zakręt. Byle z dala od śliskiego skraju po

- Ukochany z księżycą lewej stronie, byle nie dostać się w tę - jak to powiedział - ssawkę przepaści. Lampka nad pulpitem z programem świeciła bezbłędnie, zacząłem odczytywać zakręty.

- Pomyliłem - tak, pomyliłem szybkość, odczytałem ją z następnej linijki. To tak, jakbym przeskoczył zakręt. A tam łuk jest znacznie większy, droga lepiej poprowadzona i można ryzykować sto dwadzieścia pięć na godzinę.

- Pomyliłeś - Robert zmarszczył brwi. Starał się odtworzyć w pamięci tę scenę, która trwała ułamki sekund.

- Nie - powiedział po namyśle - to ja się pomyliłem. To ja mimo ostrzeżenia wyciągnąłem stowudziestkępiątkę, o kilka kilometrów za dużo, o tych pięć. Dalej już nie pamiętam.

- Ani ja Spojrzał na mnie

- O co ci chodziło, chłopie? - zapytał.

Nie odpowiedziałem. Nie pamiętałem dobrze tej króciutkiej scenki. Ach, czy naprawdę tego nie pamiętałem?

Mimo to poczułem ulgę. Wydało mi się, że nic a nic z tej sceny nie pamiętam i Robert po raz drugi rozpląnął się, wrócił na swoją ostatnią fotografię.

Wstałem, zostawiłem wszystko tak, jak było ułożone, nie wygaszałem aparatury, tykała cichutko. Wybiegłem z labu i zarzuciwszy na siebie nieprzemakalny płaszcz, wyszedłem w deszcz na miasto. Nie brałem wozu. Od czasu tej kraksy mam awersję do jazdy samochodem. Zresztą Elżbieta mieszkała niedaleko.

Wbiegłem na drewniane kręte schody jej willi. W całej dzielnicy, którą tak lubiłem, mgła snuła się po ogrodach. Zaczynała się tuż za wałem wiślanym, ale przebijały ją tam silne błyski świateł sodowych. Dopiero wśród drzew światła się urywały. Następowała strefa cienia i intymnych błysków lamp spoza zasłoniętych willowych okien.

- Nie zamykasz nigdy drzwi - powiedziałem, gdy wyszła do hali u.

- Zapomniałam, często teraz zapominam. Po co tu przyszedłeś?

Wiedziałem, że mnie tak przywita. Oczekiwałem takiego powitania, ale równocześnie czułem nieprzewartą potrzebę zobaczenia jej, choćby mnie zaraz chciała się pozbyć.

- Wyrzucisz mnie?



Milcząco przypatrywała mi się z wielką uwagą. Znała mnie doskonale, ale ja jej nie poznawałem. Z delikatnej i uległej dziewczyny zrobiła się twarda, szorstka, apodyktyczna. Mówiła mi nieraz, że mój widok przypomina jej najgorsze chwile. Zerwała też z rodziną, ze wszystkimi bliskimi.

Rano szła do pracy, tam przesiadywała w laboratoriach swego instytutu jak mogła najdłużej i dopiero późnym wieczorem wracała. Absolutnie nie dopuszczała do jakichkolwiek moich kontaktów z jej pracą. Próbowałem się zbliżyć do jej szefa. Znałem go, razem studiowaliśmy. Oświadczył mi, że naprawdę nie ma czasu na żadne rozmowy, powiedział mi raz nawet, że wyglądam teraz na psychopatę. „Te twoje natręctwa dawno już nie mieszczą się w granicach normy”.

- Znowu grzebałeś się w tych swoich ohydnych doświadczeniach - powiedziała.

Skinąłem głową. Wiedziała doskonale co robię, bo przecież na początku sama mi w mojej pracy pomagała, jej zawdzięczam montaż sporej części aparatury.

Gdy jej to próbowałem niedawno przypomnieć, wyciągnęła rękę przed siebie, jakby mnie chciała odepchnąć, jakby mój widok był dla niej nie do zniesienia. - Oszukiwałeś mnie! - krzyknęła. - Oszukiwałeś mnie. Nie znałam się na ludziach.

- Chciałem ci tylko powiedzieć...

- Wiem, co mi chcesz powiedzieć. Że ciągle ci się nie udają te twoje eksperymenty z truposzami, ta twoja ohydna mania.

Tak to ostatnio zawsze nazywała. Przypominała mi zaraz, jak od samego początku naszej przyjaźni opowiadałem jej z maniackim uporem, że jestem chory, że mam słabe serce, że lada chwila mogę się wykończyć. Starąłem się ustalać jej życie po swojej śmierci w coraz to drobniejszych szczegółach - jak ma się zachowywać, z kim spotykać, kogo uważać za przyjaciela a kogo się wystrzegać. Zastanawiałem się, jak zachowają się po tym nieodwołalnym fakcie ona i inni moi bliscy. Wszystko to usprawiedliwiała w jej oczach moje badania. Okazywała mi wtedy mnóstwo współczucia. Jej tkliwość i delikatność tkwiły u podstaw naszej spokojnej przyjaźni do czasu poznania Roberta.

- Chciałem ci właśnie powiedzieć, że moje doświadczenia udają się, tak! - udają.

- Cóż ty chcesz zrobić z ludzką śmiercią - krzyknęła histerycznie - jakim prawem przerywasz czyjąś śmierć? Dla kogo to robisz? Kogo wzywasz i w jakim celu?

- Widziałem się z Robertem.

To było dla niej zbyt silne. Osunęła się na kanapę. Usiadłem koło niej pełen współczucia.

W gruncie *rzeczy* swoje eksperymenty zacząłem z ukrywaną nawet przed samym sobą myślą o swoim wskrzeszeniu - gdyby ktoś kiedyś chciał to zrobić za pomocą mojej maszyny. To był główny motor tej pasji.

Jeśli umrę, może trafi się ktoś, kto każe mi wstać, kto zechce mnie widzieć, rozmawiać ze mną, kto mi zachowa swoją bliskość.

Pasja płynęła z niewiary, że ktoś zechce to zrobić, że ktoś w ogóle kiedykolwiek zapragnie czegoś takiego.

Czy naprawdę pragniemy wskrzeszać swoich bliskich, przedłużać ich egzystencję; czy robiliśmy to bez egoistycznych pobudek, dla nich, dla ich swobody, zgodnie z ich wolą? Czyż mając na myśli ukochanych zmarłych nie kochamy w nich tylko siebie, swojej przeszłości? Czy jest w tym coś więcej?

W jakim celu wzywam Roberta, zmuszam go do przeżywania jeszcze raz naszej tragedii, która tak zaważyła na życiu trojga osób; czyż robię to dla niego? Ach, wiedziałem doskonale, że niczego takiego się w swoich eksperymentach nie doszukam. W niczyich, jeśli ktokolwiek podejmuje taki -temat, jeśli się para wywoływaniem przeszłości. Elżbieta ocknęła się z omdlenia, podałem jej pastylkę orzeźwiająca, mamy już znakomite naprawdę lekarstwa, które ogromnie ułatwiają ratowanie bliźnich. - Nie trudno dziś poświęcać się dla kogoś - pomyślałem, gdy błyskawicznie przychodziła do siebie.

- Dziękuję - powiedziała tym swoim nowym, martwym, pełnym niechęci głosem. - Ale już sobie idź. Idź. Gdy byłem przy drzwiach, zawróciła mnie:

- Rozmawiałeś z nim?

- Tak, jak teraz z tobą.

Rzuciła się na mnie zaczęła mnie tłuc pięściami po ramionach, po twarzy, krzyząc przy tym zdławionym łzami głosem:

- Kto ci pozwolił to zrobić? Kto ci pozwolił?

Wypchnęła mnie za drzwi. Zatrzasnęła je. Słyszałem zgrzyt kluczy w zamku.

Błagałem żeby mnie wpuściła, obiecywałem, że wszystko jej opowiem. Nie odezwała się jednak. Wyszła natomiast do hallu jej sąsiadka i zawołała:

- jeśli pan jeszcze raz tak się zachowa, już na pewno wezwę do pana kogo trzeba. Proszę się wynosić! Dość tych awantur!

Zataczając się wyszedłem w mgłę.

Myślałem o Robercie. Nienawidziłem go. W laboratorium, w półmroku rozświetlonym wskaźnikami aparatury czekał na mnie. Nie było widać jego zdjęcia. On sam stał przy fotelu i zwrócił ku mnie swoją bladą twarz ze słowami:

- Wracasz od Elżbiety? Wiem, że ona nie może cię znieść, ale ja na to nic nie mogę poradzić.

- Tylko to mi chciałeś powiedzieć?

- Za co mnie nienawidzisz, za co mnie tak nienawidzisz?

Podskoczyłem wtedy do czarnego wnętrza pokoju, w którym powinna była sterceć jego fotografia. Znalazłem wielki karton fotograficzny i podarłem go na strzępy. Robert nie zniknął.

- Dopóki o mnie myślisz, muszę tu być

Nie chciał mnie dopuścić do aparatu. Zaczęliśmy się szamotać, odepchnąłem go, ale on objął mnie mocno i przytrzymał w swoim silnym uścisku. Poczułem brak powietrza. Zwiotczały mi mięśnie.

Wtedy dopiero mnie wypuścił. Ale to był tylko mój wybieg. Nie byłem jeszcze tak słaby, aby nie móc zrobić skoku ku aparaturze i nie wyłączyć jej błyskawicznym ruchem.

W pokoju pociemniało zupełnie. Roberta w pobliżu już nie wyczuwałem.

A więc to tak. Zdjęcie jest tylko dodatkiem do tej metody wywoływania zmarłych, ożywiania ich za pomocą miniaturowych fal elektromagnetycznych. Najważniejsze są same fale wzbudzone w tych, których chce się zobaczyć. Trochę mnie to zaniepokoiło. W jakim stopniu oni są żywi?- pomyślałem. Ale przecież Roberta trudno mi się było pozbyć. To argument, to ważny argument.

Całą noc prześlęczałem na sprawdzaniu aparatury i porównywaniu jej z obliczeniami. Wszystko grało. Gdy w końcu zagłębiłem się w papierach przyszły mi znowu na myśl fotografie.

Otworzyłem pudło, podświetlałem kolejno jedną za drugą. Znowu leżały przede mną: plastyczne, kolorowe, prawie żywe, ale nieruchome. W jakim stopniu są potrzebne do eksperymentu?- znowu wróciło to przekłete pytanie. Zdałem sobie wówczas sprawę w jaki sposób utraciłem Elżbietę i - o dziwo - nie wiązałem tej straty w myślach z Robertem.

Dopiero jednak w tym momencie uświadomiłem sobie, że traciłem ją dwa razy. Po raz pierwszy wtedy, kiedy oni się za moim pośrednictwem poznali i Elżbieta oszalała na jego punkcie. Po raz drugi - już po jego śmierci.

Właśnie. Po wypadku. Moja pamięć-tak uważałem teraz - ukrywała część prawdy nawet przede mną. Nie potrafiłem już po raz drugi wczuć się w tę noc na śniegu, na ostrym wirażu, ale przecież obydwaj znaleźliśmy tam każdy załom skalny, każde drzewo i każdą nierówność szosy. Jak można się było pomylić?

- Czy to ważne - mówiłem sobie - który z nas się pomylił?

Byliśmy zmęczeni, zmordowani do ostatnich granic tym idiotycznym wypychaniem wozu ześlizgującego się do przepaści.

Ale jednak to było dla mnie najważniejsze; kto się pomylił, który z nas? I czy to na pewno była tylko pomyłka, czy nie tkwiła poza nią myśl, że mógłbym przez dwa krótkie słowa, przez fałszywą głupią informację zupełnie odmienić swoje życie? Ach, jak nie znałem Elżbiety.

Rajd trwał i nie wiem, który z mijających nas wozów pierwszy zawiadomił pogotowie. Mijali nas i mijali, a ja siedziałem w środku zupełnie zaszokowany, z kłębowiskiem myśli pod czaszką, przytulony do Roberta, wciśnięty w jego martwe ciało. Ile to trwało? Prawdopodobnie (ale to już wiem od któregoś z kolegów) przyciśnięty blachami nie mogłem zmienić pozycji w jakiej zastygłem.

Nie pamiętam jak mnie wydobyto, jak ratowano, ani kiedy zabrano ciało Roberta. Jedno wiedziałem wówczas, że on na pewno nie żyje; tak - to wiedziałem' i to sobie przypominam. Z Elżbietą spotkaliśmy się dopiero w szpitalu.

Odwiedziła mnie z grupą przyjaciół. To było już po pogrzebie Roberta. Nie wiadomo po co trzymano mnie w tym szpitalu tak długo, bo przecież żadnych poważniejszych obrażeń nie stwierdzono. Podobno byłem w szoku. Być może, bo z tamtego okresu pamiętam tylko te fragmenty dni i nocy, w których karmiono mnie lekarami i zakładano kroplówki. Przypominam sobie także niechętne pielęgniarki, które ciągle prosiłem o jakieś bezsensowne usługi. O co konkretnie, do dziś nie wiem i pierwszy raz mi to przyszło na myśl właśnie teraz, kiedy przypominałem sobie wizytę przyjaciół i Elżbiety.

Starła się trzymać ode mnie jak najdalej. Wstawiała przyniesione kwiaty do wazonów, po które zresztą sama chodziła. Odczytywała kartę choroby zawieszoną na poręczy łóżka. Potem poszła porozmawiać z lekarzami. Widziałem ją tylko bardzo krótko.

- Elżbieta - powiedziałem - biedna Elżbieta.

Już moi przyjaciele zdążyli opowiedzieć mi wszystkie szczegóły wypadku. Opisywali także pogrzeb Roberta, milnąc jedynie wówczas, kiedy nadchodziła.

Nie przybliżyła się do łóżka. Patrzyła na mnie tak, jakbym wraz z Robertem przestał istnieć. To było najtrafniejsze określenie jej postępowania. Tylko, że jego śmierć była dla niej struną o niezwyklej czułości, jakże bogatą w różne tony. A moja struna pękła. W tym, że ja żyłem a Robert zginął Elżbieta zdawała się upatrywać swoją największą klęskę. Była to klęska totalna. Zawał uczuć, sprawiedliwości, możliwości stwarzanych przez życie.

Podejrzywałem zresztą i klęskę zaufania.

Straciła je prawdopodobnie do wszystkich, ale najbardziej do mnie. Czułem, iż nie wierzy ani jednemu memu słowu, że wszystko, co do niej mówię obraca się przeciwko mnie, staje się wyraźnym oszustwem i kłamstwem.

A może były to tylko moje rojenia? Może Elżbieta była po prostu zrozpaczona odejściem człowieka, którego naprawdę kochała, nic więcej?

Chciałem jeszcze raz rozmówić się z Robertem. Ponownie zapytać go o szczegóły naszego wypadku. Powinien je lepiej pamiętać niż ja. Teraz, gdy mogę go wskrzeszać niema! tyle razy, ile razy zechcę i wypytywać ciągle o to samo.

Zdałem sobie sprawę, że poddaję go swego rodzaju przesłuchaniu i że nie mam do tego najmniejszego prawa. Zwłaszcza ja nie mam prawa.

Ale już fotografia była założona i podświetlona, a aparatura włączona. Znowu rozległo się je) delikatne tykanie, na fotografii zaś byliśmy we trójkę - działo się to zaraz na początku rajdu i dobrze przypominam sobie słowa Elżbiety, skierowane wówczas do mnie jak gdyby z pretensją, z wyrzutem, może z przecuciem?

- Aleś się napierał na ten rajd - mówiła Elżbieta.

- Tak się upierałeś, że wolałabym by z Robertem jechał Korzyński. Oni razem częściej startowali niż wy dwaj.

- To dla mnie relaks.

- Zostaw go - powiedział Robert.-Lubię z nim jeździć, jest piekielnie dokładny.

Dokładniejszy i szybszy od Korzyńskiego. No, - dodał widząc jej pytające spojrzenie - on szybciej podaje program niż ktokolwiek inny A to ważne.

Zdjęcie zniknęło. Robert usadowił się na poręczy mego fotela.

- Męczysz mnie, stary - powiedział - wiesz przecież już wszystko. Niczego nowego ode mnie nie usłyszysz.

Miałem go więc znowu żywego obok siebie i nie mogłem stracić tej okazji. Ile takich okazji

zechcę jeszcze mieć?

- pomyślałem z rosnącym niepokojem.

- Prześledźmy każdy szczegół po kolei - odparłem.

- Muszę to sprawdzić.

- Co chcesz sprawdzić? Mówiłem ci, że to była moja pomyłka, najprawdopodobniej moja pomyłka. Zostawmy to, chciałbym, chciałbym...

- Wiem - powiedziałem ze złością - myślisz o Elżbiecie, ja także.

Nie dosłyszałem kiedy weszła, kiedy stanęła nad nami. Poczułem tylko czyjś wzrok i zaraz Robert zerwał się z poręczy fotela. Długo się ściskali; tak długo, że chciałem w pewnym momencie wyłączyć aparaturę. Wykończyć ten przeklęty mechanizm.

- Przyszłam tu tylko po to, żebyś wreszcie powiedział całą prawdę, przy nim - wskazała na mnie.

Mówiła głosem bardzo spokojnym, opanowanym.

- Tylko po to przyszłam na to przekłete doświadczenie. Robert, powiedz nam całą prawdę.

- Chodzi ci o ten wypadek?

- Tak. Który z was popełnił błąd?

- Szczerze mówiąc myślę, że on go popełnił. Przysunąłem się bliźiutko, jakbym chciał go uderzyć. Wsunęła się między nas.

- Ależ- krzyknąłem prawie bez tchu - przed chwilą już po raz drugi powiedziałeś mi, że to była twoja wina! Twój błąd!

- To nieprawda - odparł spokojnie - nic takiego nie mówiłem. Przeciwnie, zawsze uważałem, że to był twój błąd.

- Myślisz, że przypadkowy? - nacierała Elżbieta.

- A ty jak myślisz?

- ja przy was nie byłam. Wiem jednak...

- On był zbyt skrupulatny, zbyt dokładny, żeby popełniać takie błędy.

Staliśmy we trójkę, jedno koło drugiego, stykając się ciałami.

Pierwsza odskoczyła Elżbieta. Przypadła do aparatu i zaczęła go demolować. Robert zniknął. Zapaliło się kolorowe zdjęcie naszej trójki.

Wydobyła je zza ekranu, podarła w strzępy i wybiegła z laboratorium. Próbowałem ją zatrzymać, ale potknąłem się i upadłem, rozbijając sobie czoło. Na moment straciłem wtedy

przytomność. Gdy się zerwałem i wybiegłem na ulicę, nikogo już nie było.

Miałem wielką ochotę znowu wywołać Roberta i zapytać go czy potwierdza to, co powiedział przy Elżbiecie, ale straciłem odwagę.

Dopiero następnego wieczoru wydobyłem inne zdjęcie. Wyświetliłem je na nowo założonym ekranie. Było to moje zdjęcie z Robertem ze znacznie wsześniejszego rajdu, rajdu, który odbył się jakieś trzy lata przed tym ostatnim. Wtedy także byłem jego pilotem. Wówczas jeszcze nie znał Elżbiety, a ja dopiero co zacząłem się z nią spotykać.

Długo, bardzo długo trwało, zanim się zmaterializował.

- Stary, daj mi spokój. Niczego się nie dowiesz.

- Muszę się dowiedzieć.

- Przecież mówiłem ci.

- No więc, kto był winien?

- Popelnilem błąd.

- Jesteś tego pewny?

- Całkowicie.

- Całkowicie?

- No, prawie całkiem.

- Są jakieś drobne „ale”?

- Może i są. Nie pamiętam. A ty pamiętasz z detalami?

- Nie pamiętam - odparłem. - Ale dlaczego kłamałeś przy Elżbiecie?

- Ależ to nieprawda!

Teraz ja omal nie zdemolowałem aparatury. Zmieniłem zdjęcie i powtórzyłem spotkanie. Tym razem jeszcze dłużej trwało, zanim się pojawił. Potwierdził w pełni to, co mówił przed chwilą.

- Wezwę Elżbietę, ubłagam ją, żeby tu przyszła. Powiedz jej, że nie uważasz mnie za winnego, że mnie nie podejrzewasz.

- Oczywiście.

Wyłączyłem aparaturę i pobiegłem do Elżbiety.

Nie chciała mnie wpuścić.

- Mam dość - zawołała przez zamknięte drzwi - tych kontaktów z tobą! I twoich obrzydliwych eksperymentów! Słyszysz: nie pokazuj się tutaj więcej!

Błagałem, aby otworzyła, krzychałem, że mam jej coś ważnego do powiedzenia. Przestała odpowiadać na pukanie. Próbowałem się połączyć wideofonem. Bezskutecznie.

Długo stałem na drewnianych schodach willi zanim nie wypłoszyli mnie stamtąd sąsiedzi Elżbiety. Jeden z nich odprowadził mnie nawet do domu, mówiąc przed moją bramą:

- Człowieku, lecz się.

Wieczorem znowu wywoływałem sobie Roberta jak gdyby nigdy nic. A gdy się zaciął i nie chciał odpowiadać na moje ciągle te same pytania, trzymałem go u siebie tak długo i tak go prosiłem, że wreszcie miękł i zupełnie mnie rozgrzeszał.

Pamiętałem nieustannie jego postać i słowa, zjawiał się więc teraz błyskawicznie i nie jestem pewny, czy zdjęcie było mi zawsze potrzebne, czasami - jak się przekonałem - pomagało ono aparaturze w przyspieszeniu procesu materializacji. Czasami okazywało się wręcz zbędne. Przychodził na każde moje zawołanie.

Elżbieta nie dawała znaku życia.

Prawdopodobnie wyjechała, bo choć wystawałem pod jej domem, nieraz nawet po parę godzin w ciągu dnia, nie zjawiała się. Nie odpowiadała na wideofony i pukania do drzwi. Ci sami sąsiedzi, którzy mnie wówczas wypędzili, powiedzieli, że albo opuściła miasto, albo przeniosła się do którejś z przyjaciółek.

Dopiero w tydzień później - to przypominam sobie dokładnie - było to w równy tydzień po rozmowie z sąsiadami, na moje spotkanie z Robertem (a spotykałem się z nim teraz kilka razy dziennie), niespodziewanie przyszła. Nareszcie.

Na ekraniku tkwiło niewidzialne teraz, zaciemnione nasze wspólne zdjęcie, zrobione podczas balu sylwestrowego. Obydwaj po obu stronach trzymaliśmy ją pod rękę. Wesołą, roześmianą, jakże zupełnie inną od tej, która zerwała ze mną wszelki kontakt.

Podeszła do Roberta i zapytała go obcesowo, kto jest winien. Odparł, że na pewno ja, że zawsze to podejrzewał.

Wybiegła z laboratorium, zatraskując drzwi i zostawiając nas obydwu. Tak mocno o niej myślałem, tak bardzo pragnąłem ją zobaczyć, że obecność Roberta i jego ponowne oświadczenie natychmiast wymazałem z pamięci. Wówczas Robert zniknął, a zdjęcie naszej trójki zaświeciło się. Aparat cykał dalej.

Właśnie aparat. Dopiero wówczas uświadomiłem sobie istotę swego wynalazku. To, co mówią zmaterializowani zmarli zależy od tego z kim rozmawiają. Ich postawa, ich przekonania są



niejako emanacją postaw i przekonań rozmówcy a także jego uczuć. Gdy byłem sam z Robertem, narzucałem mu swoje zdanie na temat przyczyn naszej katastrofy. Kiedy przybywała Elżbieta, jej silna osobowość niewoliła jak gdyby zmaterializowanego Roberta i kazała mu mówić to, co ona sama chciałaby powiedzieć. Według niej najwidoczniej ja byłem sprawcą wypadku, i to umyślnym.

Ależ to nadzwyczajne, pomyślałem w rosnącym podnieceniu - toż to znaczy, że wzywający przy pomocy tej aparatury zmarłych trzyma ich uczucia i myśli na swojej uwięzi. Wskrzeszeni są niewolnikami wskrzeszających.

To dobrze - to bardzo dobrze.

Zapakowałem wszystko, czego mi będzie trzeba do podręcznej walizeczki. Siadłem po raz pierwszy do wozu i pojechałem pod willę Elżbiety, ale zaparkowałem w takim miejscu, że mogłem stamtąd śmiało obserwować jej bramę nie zauważony przez sąsiadów. Przygotowałem się na długie czekanie. Ciągle nie mogłem uwierzyć ani w jej wyjazd, ani w jej wyprowadzenie się do przyjaciółki. Jej wizyta w laboratorium upewniła mnie w przekonaniu, że w dalszym ciągu tam mieszka.

W oknach było ciemno. A więc jednak nie było jej w domu. Ukryty w wozie obserwowałem ulicę.

Starałem się przy tym uspokoić swoje zdenerwowanie, zapanować w pełni nad sobą. Bardzo mi to - szczególnie teraz, gdy miało dojść do naszego spotkania - było potrzebne.

- Trzymaj się w garści, stary - mówiłem do siebie.

Powtarzałem to sobie z maniackim uporem.

Śledziłem upływ czasu. Najpierw godziny wydawały mi się krótkie, potem jednak zaczęły się dłużyć nawet minuty i sekundy. Zmęczenie także dawało się we znaki. Czekałem jednak całą noc. Cały drugi dzień, całą następną noc.

Dopiero trzeciego dnia raniutko, zaraz po świcie, zobaczyłem, jak z taksówki wysiada Elżbieta, a szofer niesie za nią walizy. Więc jednak wyjeżdżała. Skorzystałem z momentu otwarcia drzwi i wnoszenia waliz. Wcisnąłem się do hallu.

- Czego chcesz? Prosiłam żebyś nie przychodził.

- Przecież byłaś u mnie dwa razy.

- Ja? U ciebie?

- Nie udawaj - krzyknąłem, nie bacząc na obecność taksówkarza. - Dwa razy przy tobie

wywoływałem Roberta i dwa razy starałaś się mu wmówić moją winę.

- Uspokój się - powiedziała - uspokój się i zaczekaj, muszę ci coś wyjaśnić. Zaczekaj.

Zapłaciła kierowcy, który obrzucił nas zdziwionym spojrzeniem. Wietrzył sensacyjną rozgrywkę w miłosnym trójkącie. Tymczasem pełne godności i spokoju zachowanie Elżbiety przywołało mnie do porządku. Zapanowałem nad sobą. Byłem zadowolony, że wreszcie chce w ogóle ze mną mówić.

Odprowadziła szofera do drzwi wejściowych, zamknęła je starannie. Słyszałem to doskonale i nie mogę powiedzieć, żeby nie budziło to we mnie pewnego zadowolenia; jednak byłem bliski zwycięstwa.

Gdy wchodziła cichym ale szybkim krokiem, przypomniła mi się z dawnych czasów - tak samo zwinna, żywa ale opanowana i spokojna - to było nieodparte wrażenie. W tym samym momencie natrętnie przerwały tamto wspomnienie sceny fotografowania igrających kotów.

Szalałem z nimi po pokoju, robiłem specjalnie zmechanizowane kłęбки nici, ażeby wprowadzić je w bojowy, zabawowy szal. Odrzucałem te natręctwa, ale stawały się one coraz silniejsze.

- Usiądźmy - zaprosiła mnie do niskiego stolika w rogu hallu. Zawsze tam zaczynaliśmy nasze wieczorne pogaduszki, a potem gdy już nastąpiła era Roberta, spotykaliśmy się tutaj we trójkę i przeżyliśmy nieraz wiele miłych chwil, mimo wszystko mił się na pniałem, trzymałem nerwy na wodzy, wpatrując się w jej zmienioną i jak gdyby przedwcześnie postarzałą, więdnącą twarz.

- Nie mogłam być u ciebie, bo naprawdę wyjeżdżałam, coś ci się wyraźnie poplątało. Zachowujesz się ostatnio dziwnie, I łączę to z twoim aparatem, z tym, do czego go teraz używasz. Po co robisz te ohydne doświadczenia?

- Chciałem się dowiedzieć prawdy.

- Czyjej prawdy, Roberta?

- Mojej.

- Zastanów się, jak można się dowiedzieć swojej prawdy od kogoś, kto, komu...

Zająknęła się. Wzbudziło to moje podejrzenie. Znów zaczynałem się denerwować.

- Powiedz to, powiedz, posądzałaś mnie. Prawda, posądzałaś?

- Tak. Posądzałam. Być może źle postąpiłam i to mogło cię pchnąć na tę drogę...

- A więc tak myślisz.

- Nie to ci chciałam powiedzieć.

- Nie owijaj w bawełnę, nie wycofuj się. Bądźmy całkiem szczerzy, no, bądź szczerą.

Przerwała mi. Była wyraźnie zaniepokojona moją wybuchowością. Już krzyczałem, gestykulowałem bezładnie.

- Uspokój się. Mówię całą prawdę. Robert już nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Ani ty, ani Robert. Jest to przeszłość, od której się *chcę* odciąć. Tylko dlatego nie chciałam kontaktów z tobą. Moje podejrzenia nie mają sensu. Nie ma też dla mnie znaczenia twoja prawda, ani prawda Roberta, ani nawet moja prawda sprzed jego śmierci i z okresu rozpaczy po nim, Jestem wyleczona.

- Kłamiesz.

- Mówię ci: jestem z was i z siebie wyleczona. Całkiem spokojna.

- I nigdy nie zechcesz się ze mną kontaktować? Nigdy? No. mów dalej tę swoją prawdę, tę nową prawdę! Na przekór swojej przeszłości. Tej przeszłości, w której my tkwimy w tobie - największa zadra twego życia. Jak potrafisz z tym skończyć - słowami, unikaniem mnie i moich eksperymentów?

Ciekawe, że dość łatwo uwierzyłem w jej nieobecność na moich seansach. To nie było wykluczone: aparat mógł ją ściągnąć, bez jej woli, bez pełnej jej świadomości, nawet zupełnie nieświadomą, jak promienie księżycy ściągają lunatyka. Ona stanowiła oś naszych wydarzeń, myśleliśmy o niej obydwaj i przywoływaliśmy ją, czy chciała tego, czy nie chciała.

- Więc pragniesz z nami zerwać, czy to w ogóle możliwe, czy sądzisz że nie można cię będzie przywołać, zmusić, zmusić do kontaktu?

Już nie krzyczałem, lecz mówiłem urywanym głosem, dławiąc się. Gwałtownym ruchem wy dobyłem swoją kamerę. Tę samą, którą robiłem zdjęcia kotów. Jeszcze żywych, jeszcze igrających ze sztucznymi myszkami.

Zerwała się z fotela i cofała się ku ścianie. Podniosłem aparat.

- Nie! - zawołała. - Nie, nie!

I zasłoniła rękami twarz. Wzdłuż muru powoli zbliżała się do drzwi. Ale ja dobrze pamiętałem, że je mocno zaryglowała i trudno jej będzie teraz je otworzyć. Ach, jak trudno...

## **SPIS TREŚCI**

Ukochany z Księżyca

Jak koń trojański

Punkt

Aparat też chce żyć

Oni już tu są

Łazarzu, wstań